

Żak

Miesięcznik Studentów
Politechniki Wrocławskiej

AUTOSTOPEM PO MARZENIA

RELACJA Z PIĘCIOMIESIĘCZNEJ PODRÓŻY PO AZJI

CO Z TĄ ULGĄ?

ILE ZAPŁACISZ ZA BILET NA POCIĄG OD NOWEGO ROKU

„GDYBYM MIAŁ WYBIERAĆ PONOWNIE, ZROBIŁBYM TO SAMO”

WYWIAD Z JERZYM PIETRASZKĄ

MACHINEPUNK

AMADEUSZ ŚWIERK



OD REDAKCJI...

Drodzy Czytelnicy!

Współcześnie można zauważyć tendencję do unikania trudności. Ten trend ma wiele twarzy. Za przykład mogą posłużyć artykuły czy programy o walce ze stresem – pojęciem nieznanym jeszcze sto lat temu. Dlaczego mamy unikać czegoś, co jest immamentną cechą rzeczywistości? Innym obliczem tego zjawiska jest unikanie odpowiedzialności przez młodych ludzi, objawiające się, w skrajnej i zadziwiającej postaci, brakiem podstawowych umiejętności, takich jak smarowanie chleba masłem czy używanie pralki automatycznej. Dlaczego mamy chcieć tkwić w strachu przed sobą i własną niepewnością? Wreszcie pogoń za pieniędzmi czy wyścig szczurów można interpretować jako ucieczkę w wygodę i w kasę przed prawdziwym życiem czy pytaniami o kwestie kardynalne i ostateczne. Dlaczego mamy bać się tej tkwiącej w nas kropli egzystencjalnej otchłani?

Tymczasem śmiem twierdzić, że bez tych spraw trudnych, tak unikanych przez obecną kulturę (antykulturę?), nic wielkiego powstać nie może. Nie mam tu na myśli spraw takiej wagi, jak włączanie się w procesy dziejowe czy zmienianie świata – ale każdy aspekt życia, które przecież, póki żyjemy, jest sprawą niezmiernie istotną.

Bez rzeczy niełatwych skazujemy się na egzystencję niepełną. Przecież pozorne sukcesy, jeśli przyszły bez trudności – i nieodłącznego stresu – niewiele są warte i cieszą jedynie przez okamgnienie.



Przecież nie biorąc odpowiedzialności za własne słowa i czyny, prowadzimy życie wciąż na czworakach – a tymczasem dane nam jest chodzić w południe na dwóch nogach, o zachodzie na trzech. Przecież jeśli w porę nie skruszymy kopii z własną otchłanią, nic nie zyskamy, a jedynie staniemy w końcu nadzy i bezbronni wobec największych pytań trapiących człowieka.

W tym numerze poświęcamy wiele miejsca osobom, które podejmują lub podejmowały się działań pełnych wyzwania, nie uciekały przed życiem. Choć trudno przyrównywać działalność opozycyjną Jerzego Pietraszki z rozlicznymi, opisywanymi przez nas studenckimi projektami, to łączy je jedno – odwaga, „co wiecznie z podniesioną głową / Nie da się zepchnąć ze swego stanowiska”. Takiej odwagi w nadchodzącym roku sobie, całej redakcji i wam życzę.

Aleksander Spyra

Miesięcznik Studentów
Politechniki Wrocławskiej „Żak”
Wybrzeże Wyspiańskiego 27
50-370 Wrocław
Akademik T-3, sala 6
zak_pwr@pwr.edu.pl

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń.
Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian w materiałach niezamówionych.
Przedruk materiałów wyłącznie za zgodą.

Wydanie elektroniczne i więcej informacji znajdziesz na:



WWW.ZAK.PWR.EDU.PL



FACEBOOK.COM/ZAK.PWR

NA POCZĄTEK

- 4 Bo to co nas podnieca, to się nazywa kasa – Frazeolo V
- 6 KonMari – wyrzucić marzenia?

UCZELNIA

- 7 Absurdy budynków Politechniki Wrocławskiej
- 8 Robotic Arena
- 9 Kulturalny lek na zimowe samopoczucie
- 9 Praktyczna strona studiowania
- 12 Nasz własny TEDx
- 12 Łączą bezprzewodowo: Wireless Group

STUDENT I ŚWIAT

- 13 Życie w świecie powszechnego ekshibocjonizmu
- 15 Z perspektywy pieszego
- 16 Zapowiada się dobra praca, czyli wszystko co musisz wiedzieć o CV
- 18 „Gdybym miał wybierać ponownie, zrobiłbym to samo” – wywiad z Jerzym Pietraszką
- 20 Co z tą ulgą?

PO GODZINACH

- 21 Autostopem po marzenia cz.1
- 24 Tajemnica Gwiazdy Betlejemskiej
- 25 Święta, święta i po świętach
- 26 Pamiątki z Politechniki
- 27 Jarmarki Bożonarodzeniowe
- 28 Błękitny Motyl (fragment)

KULTURA

- 29 Muzyczna podróż
- 30 Lukrowane historie ze srebrnego ekranu
- 31 Film, który zmienił moje życie
- 31 Tajemnice egipskich grobowców

ROZRYWKĄ

- 32 Opowieści z KuliNarnii
- 33 Jak piękne może być piękno widziane na ekranie? / Zagadki logiczne
- 34 Krzyżówka / Sudoku / Satyra

REDAKTOR NACZELNY

Aleksander Spyra (aleksander.spyra@zak.pwr.edu.pl)

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO

Magdalena Legendziewicz (magdalena.legendziewicz@zak.pwr.edu.pl)
Aleksandra Mizgala (aleksandra.mizgala@zak.pwr.edu.pl)

REDAKTOR WYDANIA

Magdalena Legendziewicz

FOTO

Paulina Napierała, Amadeusz Świerk, Michalina Kacperak

OKŁADKA

Aleksandra Podsiadnik

SKŁAD I ŁAMANIE

Filip Lenarcik

REDAKCJA

Monika Całusińska, Magdalena Legendziewicz, Aleksandra Mizgala, Małgorzata Napierała, Paulina Napierała, Aleksandra Palecka, Krzysztof Papierniak, Aleksandra Pędziwiatr, Mateusz Pyzik, Michał Sierszuliński, Justyna Sołtys, Aleksandra Sójka, Aleksander Spyra, Ewelina Szwał, Marta Ulatowska, Joanna Maria Więckowska

GRAFIKA

Aleksandra Pędziwiatr

KOREKTA

Eliza Bandzwolek, Filip Czaja, Agata Gruca, Paweł Hajduczenia, Aleksandra Palecka, Anna Raczynska, Dagmara Rybak, Kinga Smuś, Justyna Sołtys, Katarzyna Wawrzyniak, Kamila Zielińska

PROMOCJA

Klaudia Suszek

WSPÓŁPRACA

Filip Kołacz (BEST Wrocław), Kinga Korcz (DKF Politechnika)

BO TO CO NAS PODNIECA, TO SIĘ NAZYWA KASA FRAZEOLO V

Grudzień – miesiąc, w którym mamy wyjątkowo dużo wydatków: mikołajki, prezenty na Boże Narodzenie, świąteczne potrawy, kreacje na sylwestra... O tak, w tym okresie wydajemy naprawdę sporo pieniędzy. Finansowe Frazeolo będzie na tę porę jak znalazł.

Święta to czas, kiedy dajemy się ponieść magii zakupów i kupujemy wszystkiego na zapas. W tym okresie wydajemy bająskie sumy, by sprawić radość naszym bliskim i zapewnić im niezapomniane chwile. Jednak mając tyle wydatków, można skończyć jak święty turecki – goły i wesoły – chyba że jest się bogatym jak Krezus i ma się kasy jak lodu. Tylko jak stać się tak majątnym, by móc zaszać nie tylko od święta? Co prawda, nie znajdziecie w tym artykule odpowiedzi na to pytanie, jednak na pewno po jego przeczytaniu staniecie się bogatsi o wiedzę na temat etymologii związków frazeologicznych związanych z finansami.

SPRZEDAŻ KOTA W WORKU, CZYLI JAK OCYGANIĆ DIABŁA?

Jeśli chodzi o kupowanie kota w worku, to można znaleźć kilka wytłumaczeń pochodzenia tego wyrażenia. Najciekawszym z nich jest pewna niemiecka legenda.

W średniowieczu Germanie wierzyli w istnienie niezwyklej monety, która miała zapewnić posiadaczowi dożywotni dobrobyt. A to dlatego, że wspomniana magiczna waluta raz wydana, wracała do właściciela. Co trzeba było zrobić, żeby stać się jej szczęśliwym posiadaczem? I tu zaczynają się schody... Pozwólcie, że receptę przedstawię wam w kilku krokach. Krok pierwszy – złapać czarnego kota. Krok drugi – wsadzić go do worka. Krok trzeci – worek związać na dziewięćdziesiąt dziewięć supłów. Krok czwarty – w noc noworoczną lub najdłuższą w roku okrążyć trzykrotnie kościół. Krok piąty – zastukać do drzwi świątyni, by wezwać zakrystiana. To jeszcze nie koniec – po tych pięciu krokach pojawi się diabeł... Bez obaw, nie trzeba z nim podpisywać cyrografu! Wystarczy sprzedać worek, przekonując kosmatego klienta, że wewnątrz jest zajac. Czart zapłaci wówczas magicznym pieniążkiem. Co dalej? Uciekać! Brać nogi za pas, nim diabeł zorientuje

się, że nie kupił zajaczka, a... kota w worku.

Kolejne wytłumaczenie nawiązuje do średniowiecznych zakupów, kiedy to wiele rzeczy nabywano w workach. Nie dotyczyło to, co prawda, kotów, ale polscy myśliwi kotem zwali zajaca, a te mogły być sprzedawane w workach. Skoro tak, to konsumentowi trudno było stwierdzić, czy mięso nie zaczęło się już psuć.

Średniowiecze to okres w historii, w którym koty miały ogromną wartość. Z ich skór wykonywano odzież, obicia do krzeseł i mięciutkie dywaniki. Zwykle łapano koty bezpieczne, ale znacznie cenniejsze były zadbane kociaki domowe, dlatego często zdarzało się, że kradziono je właścicielom. Zjawisko to było tak powszechne jak obecnie kradzieże rowerów we Wrocławiu. By zapobiec przerobieniu ulubieńców na dywan, właściciele wypalali im znamię na skórze. Taki naznaczony futrzak tracił na wartości rynkowej. Paserzy sprzedający kradzionego zwierza musieli liczyć na to, że producent wyrobów skórzanych nie obejrzy dokładnie kociaka i kupi przysłowowego (i dosłownego) kota w worku.

SKĄD POZYSKAĆ BAJOŃSKIE SUMY?

Określenie *bająskie sumy* pochodzi od nazwy francuskiego miasta – Bajonna. Tam właśnie 10 maja 1808 roku zostało podpisane porozumienie, na mocy którego Księstwo Warszawskie winne było Napoleonowi 20 mln franków (tyle właśnie pierwotnie wynosiła bająska suma). Dla niewielkiego państewka była to niewyobrażalna kwota, mimo iż jej spłatę rozłożono na trzy lata. Skąd taki ogromny dług wobec Napoleona? Wszystko przez to, że po rozbiorach Polski rząd pruski bardzo chętnie udzielał wysokooprocentowanych kredytów mieszkańcom dawnej RP, nawet jeśli oczywistym było, że nie będą oni w stanie spłacić tej pożyczki. Po kilku latach łączna suma zadłużenia wraz z odsetkami wynosiła

ponad 47 mln franków. Na mocy pokoju w Tylży w 1807 roku część pierwszego zaboru, zabór drugi oraz trzeci znalazły się pod władzą Napoleona, który utworzył z większej części tych ziem Księstwo Warszawskie. Napoleon zrzekł się dochodów z Księstwa oraz wierzytelności na rzecz formalnie panującego tam króla saskiego i księcia warszawskiego Fryderyka Augusta w zamian za wypłacenie gotówką wspomnianej już bająskiej kwoty 20 mln franków. Można by pomyśleć, że facet miał gest, jednak wspomniane 47 mln długu w rzeczywistości było nie do odzyskania. Lepszy rydz niż nic.

BOGATY JAK KREZUS – DRUGA STRONA MEDALU

Kto z was nie marzył o tym żeby być bogatym jak Krezus, mieć kasy jak lodu, zbijać kokosy czy spać na pieniądzach? Niestety, jak już wspomniałam, nie mogę spełnić waszych marzeń, ale opowiem wam o etymologii niektórych bogatych frazeologizmów.

Krezus, którego imieniem określa się dziś majątnych ludzi, był ostatnim królem Lidii – historycznej krainy znajdującej się na terenie zachodniej Azji Mniejszej. Zasłynął z niesłychanego bogactwa, lecz mało kto wie, że poniósł on ogromną klęskę. Władca ten był żądny sławy i pieniędzy, dlatego wszczynał wojny i podbijał kolejne ziemie. Jednocześnie pamiętał o tym, że w interesach trzeba być ostrożnym, więc przed każdym najazdem na obcą ziemię pytał wyroczni delfickiej o radę. Niestety, Krezus miał problemy z interpretacją odpowiedzi i w efekcie został pokonany przez Cyrusa – króla Persji. Jego dalsze losy nie są znane. Krążą pogłoski, że rzucił się w ogień z rozpacz, inni twierdzą, że żył jeszcze wiele lat na dworze jako doradca samego Cyrusa, albo że został wygnany do Ekbatany – stolicy państwa Medów. Bez względu na to, co się z nim dalej działo, sławę

przyniosły mu skarby i wymuszone daniny (od miast Azji Mniejszej), które gromadził w jednej z kopalń złota w Sardes.

SZLACHTA MA KASY JAK LODU...

Mieć forsy jak lodu – kto by nie chciał? Ale o co chodzi z tym lodem? Powiedzenie *mieć kasy jak lodu* odnosi się do dworskiej lodowni – ówczesnego odpowiednika dzisiejszej lodówki. Lodownie budowano w zagłębieniach lub w dawnych lochach, w miejscach zacienionych, blisko dworu. Od dołu wykopanej dziury układano cembrowany, sklepiiony mur. Podłoga, na której ustawiano żywność i napoje, była ułożona na drewnianych belkach, a pod nią składowano zapasy lodu na cały rok. Zimą, podczas mrozów, o których dziś możemy tylko poczytać, wydobywano lód z zamrożniętych zbiorników wodnych i zwożono do lodowni.

Niektórzy twierdzą, że wobec globalnego ocieplenia wspomniany frazeologizm diametralnie zmieni znaczenie i będzie oznaczał „mieć bardzo mało pieniędzy”.

BŁĘKITNA KREW – LUDZIE-SMERFY
Skoro już jesteśmy przy dworskich klimatach, pozwólcie, że wyjaśnię, skąd wzięło się powiedzenie *mieć błękitną krew*. Otóż dawniej wśród arystokracji modna była bladeść skóry, a przy bladej i cienkiej skórze widać żyły, które wyglądają na niebieskie – stąd wniosek, że w żyłach tych ludzi musi płynąć błękitna krew. Dobra, dobra, to najbardziej popularne wytłumaczenie, ale nie jedyne. Pozostawmy przy szlachcie: krążą pogłoski, że ponieważ jadła ona ze srebrnych naczyń, to często zapadała na tak zwaną srebrzycę. Przedawkowanie srebra powoduje odkładanie się związków tego pierwiastka w organizmie; widocznym objawem jest niebiesko-szary kolor skóry. Łatwo więc wywnioskować, że choroba ta miała się wyłącznie arystokracji, która połykała cząsteczki srebra wraz z jedzeniem. Chłopi, którzy jedli z drewnianych naczyń, byli bezpieczni.

Osoba, która zachoruje na srebrzycę, już do końca życia będzie miała niebieską skórę. Jeśli chcecie zobaczyć, jak wygląda człowiek chory na srebrzycę, to wpiszcie nazwę tej choroby w wyszukiwarce. W grafice wyświetlą wam się zdjęcia Paula Karasona, zwanego Papa Smerfem,

który leczył zapalenie skóry zakażonym w USA srebrem koloidalnym i stał się niebieski. Błękitna krew przyniosła mu sławę i pieniądze, lecz już do końca życia miał nienaturalny kolor skóry.

Słyszałam kiedyś również historię o pewnej rodzinie królewskiej, która cierpiała na rzadką chorobę genetyczną powodującą niebieskie zabarwienie krwi. Postanowiłam sprawdzić, czy takie schorzenie rzeczywiście istnieje i okazało się, że tak, i nazywa się methemoglobinemia. Jest ono spowodowane mutacją genetyczną, prowadzącą do tego, że we krwi oprócz hemoglobiny występuje methemoglobina, czyli hemoglobina utleniona na skutek nieodwracalnej reakcji. W skład methemoglobiny wchodzi żelazo na III stopniu utlenienia (a nie II, jak w hemoglobinie), co powoduje, że nie przyłącza i nie przenosi ona tlenu. Ludzie cierpiący czy to na srebrzycę, czy na methemoglobinemię, za sprawą niebieskiego zabarwienia skóry zwani są potocznie ludźmi-smerfami.

Ale błękitna krew to nie tylko symbol szlacheckich korzeni. W Rosji frazeologizm ten miał zupełnie inne znaczenie...

SPOD CIEMNEJ GWIAZDY

Błękitna krew w Rosji nie świadczy o szlacheckim pochodzeniu, o nie. Wszystko to dlatego, że *blawatnoj* – ‘niebieski’, to symbol zepsucia i w ten sposób określa się najcięższych kryminalistów, nie zaś arystokratów.

Skoro już weszliśmy na drogę przestępstwa, czas wyjaśnić pranie brudnych pieniędzy. W latach 20. i 30. gangi w USA nabywały publiczne pralnie, by zalegalizować środki uzyskane z przemytu alkoholu, tytoniu czy narkotyków oraz innych czynów zabronionych. Stąd pranie pieniędzy oznacza techniki, które mają na celu stworzenie pozorów legalnego nabywania środków, a jednocześnie ukrycia ich nielegalnego pochodzenia.

URYNOBIZNES

Pecunia non olet – ‘pieniądz nie śmierdzi’; te słowa wypowiedział dawno, dawno temu prawdopodobnie Wespazjan – cesarz chcący odbudować finanse Imperium Rzymskiego. Mawia się, że wprowadził podatek od korzystania z toalet publicznych, jednakże dotarłam do nieco innej

historii. Czy toalety publiczne były płatne, czy nie – to nie jest ważne. Istotne jest jednak, że to, co zostawiali tam ludzie, było później wykorzystywane w działalności rzemieślniczej. Chodzi tutaj o mocz, który był zbierany w wielkich naczyniach, a następnie sprzedawany garbarzom. Uryny używano przy garbowaniu skór, więc niewątpliwie była w cenie. Dlatego bez względu na to, czy toalety były płatne, ich właściciele i tak zarabiali – i to nie mało. Jaką rolę odegrał tu Wespazjan? Otóż postanowił nałożyć podatek na handel tym cennym w garbarstwie płynem. Jak można się domyślić, krytyce nie było końca, a najbardziej na władcy zawiódł się jego syn, Tytus, który nie popierał tego obrzydliwego pomysłu. Wespazjan, jak na ojca przystało, postanowił przeprowadzić z synem poważną rozmowę na ten temat, podczas której podsunął mu monetę pod nos i zapytał, czy czuje jakiś zapach. Syn zaprzeczył, na co ojciec odpowiedział: „Widzisz, synu, to pieniądz z moczu, a nie śmierdzi. *Pecunia non olet!*”.

A PO ŚWIĘTACH... – GOŁY JAK ŚWIĘTY TURECKI

W okresie przedświątecznym kupujemy dużo za dużo, a później kończymy jak święty turecki, czyli jak muzułmański asceta i mistyk. Prawdopodobnie po raz pierwszy porównanie *goły jak święty turecki* pojawiło się w „Perygrynacji do Ziemi Świętej” Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, która powstała w XVI wieku. Autor dzieła opisuje pielgrzymkę do Ziemi Świętej z lat 1582-84. Będąc w Damaszku, spotkał prawdziwego świętego tureckiego, który nie miał ani włosów, ani brody, ani nawet ubrania. Okazało się, że należał do grona ludzi, którzy gardzą życiem doczesnym. W ustępie zatytułowanym „Owoc tureckiej wiary” Radziwiłł pisze o tym doświadczeniu: „Znajdują się też tu ludzie, którzy się za nabożne udają, tak zimie, jako lecie nagucko bez wszego zgoła okrycia chodzą, głowę i brodę ogoliwszy. Napadłem [spotkałem] w Damaszku na jednego i rozumiałem, że szalony, ale gdym pytał, powiedziano, że to człek święty i żywota niewinny, który światem i doczesnym szczęściem pogardziwszy, na ziemi anielski żywot prowadzi”. ■

Magdalena Legendziewicz

KONMARI - WYRZUCIĆ MARZENIA?

Koniec roku sprzyja podsumowaniom i postanowieniom na nadchodzące dwanaście miesięcy. A gdyby tak pozbyć się bałaganu ze swojego życia? Czy możliwe jest posprzątać tak dobrze, żeby już nigdy nie musieć tego powtarzać? Odpowiedzi na to pytanie poszukamy w poradniku specjalistki – Marie Kondo, nauczycielki sprzątania.

Ma już 31 lat, a nadal wygląda jak nastolatka. Wydała cztery książki, a jedna z nich ukazała się w 30 krajach. W 2015 roku pojawiła się na liście 100 najbardziej wpływowych ludzi tygodnika „Time”. Marie Kondo – japońska guru sprzątania, najbardziej zorganizowana kobieta na świecie. Jeśli rodzice wmawiali wam w dzieciństwie, że jak nie będziecie się uczyć, to nic nie osiągniecie i będziecie sprzątać cudze domy – nie martwcie się! Tym właśnie zajmuje się Kondo i jest do tego sławna, bogata i uwielbiana zarówno przez rzesze pań domu, jak i początkujących minimalistów.

KONMARI

Nazwa metody Japonki wzięła się od złożenia jej imienia i nazwiska – KonMari. Jak zapewnia autorka, opisywany przez nią sposób sprzątania gwarantuje, że po zakończeniu porządków już nigdy więcej nie będziemy musieli sprzątać. Niewiarygodne? Trudno wyobrazić sobie życie bez ciągłej walki z bałaganem. Jak można osiągnąć taki stan?

Założenia metody są proste: należy zostawić tylko te rzeczy, które się kocha, dla każdej znaleźć stałe miejsce, a potem pozostaje tylko odkładać ją na to miejsce po każdym użyciu. Na pierwszy rzut oka metoda nie wydaje się odkrywczą ani zachęcającą. Na szczęście autorka pokazuje krok po kroku, jak poprawnie i permanentnie ustanowić porządek w swojej przestrzeni.

Po pierwsze, należy znaleźć trochę czasu i spokoju. Najlepiej żeby w pobliżu nie było innych domowników, bo ich obecność może rozpraszać i wpływać negatywnie na nasze decyzje. Sprzątanie trzeba podzielić na następujące kategorie: ubrania, książki, papiery, rzeczy drobne (*komono*) oraz pamiątki. Kondo radzi, żeby zastosować dokładnie tę kolejność, bo wtedy trudność rośnie powoli w miarę sprzątania. Zwykle rozstawianie się z ubraniami nie sprawia większego problemu – i tak często je zmieniamy, bo niszczą się lub przestają być modne. Co innego przedmioty o zabarwieniu emocjonalnym – zdjęcia, pamiątki, upominki. Powyższa kolejność pomaga wdrożyć się w pozbywanie zbędnych rzeczy i minimalizuje ryzyko zniechęcenia się na

samym początku drogi.

Sprzątanie kategoriami oznacza tak, że nie możemy zajmować się każdym pomieszczeniem osobno. Jeśli robimy porządek w ubraniach, to musimy zebrać KAŻDĄ sztukę odzieży z mieszkania, nie tylko ubrania z szafy, ale też te zimowe, upchnięte w pudle pod łóżkiem, płaszcze i buty z przedpokoju czy sweter rzucony na kanapę. Dopiero gdy jesteśmy pewni, że wszystkie ciuchy są zgromadzone w jednym miejscu, możemy przystąpić do sortowania. Kondo poleca wziąć każdą rzecz po kolei do ręki i zastanowić się, czy sprawia nam ona radość. Nie czy jest nam potrzebna, czy dostaliśmy ją w prezencie, czy jest jeszcze nieużywana i czy była droga. Te kwestie są mniej ważne. Kondo zakłada, że tylko w otoczeniu rzeczy, które naprawdę kochamy, możemy być szczęśliwi. W poradnikach o pozbywaniu się nadmiaru przedmiotów jest to dość nietypowe podejście. Zwykle autorzy podają bardziej precyzyjne sposoby segregacji, np. wyrzucić wszystkie ubrania, których nie nosiłaś dłużej niż dwa lata, albo zostaw sobie najwyżej osiem par butów. Wybór rzeczy według poziomu szczęścia, jaki nam dają, jest bardzo łagodny wobec użytkownika. Sprawia ci radość posiadanie 80 par butów? Miej je. Kondo gwarantuje, że jeśli naprawdę je kochasz, to znajdzie się dla nich miejsce w twoim mieszkaniu.

W podobny sposób należy zająć się następnymi kategoriami. I tu także Kondo nie szczędzi rad. Masz ogromny zbiór książek? Zaczynaj od zdjęcia ich z półek i rozłożenia na podłodze. Pomimo, że książki ułożone na regale łatwiej jest ogarnąć wzrokiem, nie ułatwia to wcale decyzji, czy sprawiają nam radość. Przyzwyczailiśmy się, iż tam są i trudno sobie wyobrazić, że nagle moglibyśmy je wyrzucić. Jak pisze Kondo: „Na pierwszy rzut oka są niewidzialne, tak jak zielony konik polny na łące, który zlewa się ze swoim otoczeniem”. Potem musisz NAPRAWDĘ zastanowić się nad każdą książką. Nie zatrzymuj jej tylko dlatego, że nie została przeczytana. Nawet jeśli kupiłeś ją z wielkim zapałem do czytania, a od roku kurzy się na półce, to zapewne nigdy jej nie przeczytasz. Być może czas na jej przeczytanie minął i należy się jej

pozbyc. Jeśli jeszcze kiedyś zachcesz po nią sięgnąć, będziesz mógł ją znów kupić albo wypożyczyć. Jeśli nie – wcale nie była ci potrzebna.

WYRZUCIĆ MARZENIA

Porządki metodą KonMari w pewien sposób pozbawiają nas złudzeń. Wyrzucamy ubrania, które kiedyś kupiliśmy, z nadzieją, że zrzucimy kilka kilogramów. Pozbywamy się książek o fizyce kwantowej, którą chcieliśmy zrozumieć, ale nie podołaliśmy. Porzucamy marzenia o byciu światowej sławy kucharzem albo sportowcem, albo specjalistą od kaligrafii... Kiedy trzymamy w domu przedmioty, które miały nam pomóc w osiągnięciu określonego celu, możemy się tylko łudzić, że jeszcze wrócimy do jego realizacji. Wyrzucanie ich przypomina nam o niewykorzystanych szansach i powoduje smutek. Z drugiej strony jest to sposób na uporządkowanie nie tylko swojego domu, ale także życia. Wyeliminowanie niepotrzebnych elementów pozwala skupić się na tym, co naprawdę ważne. Pozwala również lepiej poznać samego siebie. Gdy już pozbędziemy się nadmiaru, możemy... po prostu być szczęśliwi.

DZIWNIE, DZIWNIE I JESZCZE DZIWNIEJ

Niektóre rady i poglądy autorki są bardzo osobliwe. Marie Kondo traktuje przedmioty niezwykle poważnie – tak samo poważnie jak ludzi. Píše o dziękowaniu ubraniom przed ich wyrzuceniem. O skarpetkach, które cierpią zwinięte w kulki, i torebkach zmęczonych całodziennym noszeniem. O ubraniach pozasezonowych niszczących się tylko dlatego, że nikt ich nie dotyka i nikt o nich nie pamięta. Nie wspominając już o podziękowaniach na końcu książki, w których autorka obok rodziny i menadżera wymienia swój dom i swoje rzeczy. Jeśli jednak potraktujemy z pewnym pobłażaniem jej nietypowe poglądy, to lektura okaże się ciekawa, a chwilami nawet zabawna.

UWIELBIENIE I OBURZENIE

Książka Marie Kondo spotkała się z wieloma negatywnymi komentarzami. Przed zakupem przeczytałam na jej

temat mnóstwo tych niepochlebnych. Czytelnicy zarzucają Kondo, że jej magiczna metoda wcale nie jest nowatorska ani odkrywczą. Wielu zawiodło się, bo miało nadzieję na jakiś naprawdę przełomowy sposób sprzątanania i więcej praktycznych porad. Tymczasem autorka pisze: „Sposoby przechowywania powinny być jak najprostsze. [...] Sekretom do uporządkowania pokoju jest maksymalna prostota przechowywania”.

Oprócz tego wielu czytelników ma jej za złe, że nie pisze nic o oddawaniu rzeczy na cele dobroczynne i segregacji odpadów. W swojej książce Kondo podaje przykłady klientów, którzy dzięki jej pomocy wyrzucili kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt ogromnych worków

niepotrzebnych rzeczy. Byłaby to idealna okazja do dania czytelnikom wskazówek, jak ekologicznie pozbywać się przedmiotów. Moim zdaniem nie można tego uznać za poważną wadę poradnika, bo przecież nie jest to podręcznik recyklingu i ekologicznego życia, więc tego typu sugestie mogłyby być tylko dodatkiem.

Z drugiej strony, metoda KonMari ma też swoich wielbicieli. Szczególnie chwalony jest pionowy sposób przechowywania rzeczy, który pozwala na łatwy dostęp do każdej z nich, bez przekopywania się przez warstwowo układane stosy. Dobre opinie zyskało też kryterium podziału przedmiotów ze względu na emocje z nimi związane – nie powoduje ono

uczucia straty u osoby pozbywającej się rzeczy.

Jeśli chcecie bliżej poznać metodę KonMari, możecie wpisać jej nazwę w przeglądarkę i łatwo znajdziecie główne założenia, porady, filmiki i opinie użytkowników. Jeśli jednak chcielibyście krok po kroku zmienić swoje życie na bardziej uporządkowane, to polecam zajrzeć do książki Marie Kondo pt. *Magia sprzątanania*. Nie jest ani odkrywczą, ani przełomową, a całą jej treść można by streścić na kilku stronach, jednak pomoże wam posprzątać mieszkanie jak przyjaciel – radząc, motywując i podając przykłady innych ludzi, którym się udało. ■

Aleksandra Mizgała

ABSURDY BUDYNKÓW POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

Codziennie przebywamy w nich podczas zajęć, a mimo to dla wielu osób poruszanie się wewnątrz budynków naszej uczelni stanowi problem. Prawie każdy posiada jakiś haczyk mogący sprawić kłopot studentom pierwszego roku, którzy dopiero poznają teren kampusu. Przyjrzyjmy się zatem z bliska niektórym ciekawostkom.

Zacznijmy od budynku A-1, czyli Gmachu Głównego Politechniki Wrocławskiej. Nawet studenci piątego roku miewają problemy z dotarciem do biblioteki lub sal wykładowych. Z racji tajemniczych korytarzy często jest on określany mianem Hogwartu, do którego łatwo wejść, ale dużo trudniej się z niego wydostać.

JAK DOTRZEĆ DO BIBLIOTEKI?

Większość problemów studentów wynika z faktu, że istniejące w budynku A-1 cztery główne klatki schodowe nie są ze sobą połączone na wszystkich poziomach. Schody po prawej stronie od wejścia przy Wybrzeżu Wyspiańskiego, znajdujące się obok siedziby Rektoratu, łączą się ze schodami po przeciwnej stronie tylko na parterze i w piwnicy. Umożliwiają jednak bezpieczne dotarcie do auli oraz sali wykładowej nr 322. Wchodząc od strony ulicy Norwida Wejściem Cesarskim i idąc na wprost korytarzem, na którego ścianach znajdują się portrety rektorów Politechniki Lwowskiej, mijamy kolejno dwie klatki schodowe. Jeśli chcemy bezproblemowo dotrzeć do biblioteki, pamiętajmy, aby skorzystać z drugiej z nich. Pierwsze schody nie są bowiem z nią połączone na drugim piętrze i o wypożyczeniu książek będziemy mogli zapomnieć. Rozwiązaniem problemów z klatkami schodowymi w A-1 jest zapamiętanie, że wschodnie i zachodnie skrzydła tego

gmachu funkcjonują osobno, mimo że mają wspólną numerację pokoi. Jedynym połączeniem między nimi są korytarze w piwnicy i na parterze od strony Wybrzeża Wyspiańskiego oraz na parterze i pierwszym piętrze po przeciwnej stronie budynku.

GDZIE JEST TA SALA?

Niedaleko Gmachu Głównego znajduje się budynek A-2, do którego można wejść przy skrzyżowaniu ulicy Łukasiewicza i Wybrzeża Wyspiańskiego. Nie sprawiałby on wielu kłopotów, gdyby nie fakt, że do sali nr 310 prowadzi osobne wejście, umiejscowione mniej więcej w połowie drogi między budynkami A-1 i A-2. Wchodząc od strony wspomnianego wcześniej skrzyżowania, w żaden sposób nie można do niej dotrzeć. Z kolei na parterze gmachu B-1 znajdują się dwie windy. Nie każdy jednak wie, że tylko ta po lewej stronie, bliżej ulicy Smoluchowskiego, umożliwia wjechanie na czwarte piętro i dotarcie do sal o numerach od 500 wzwyż.

Możemy być też zaskoczeni numeracją pomieszczeń w niektórych budynkach. W B-9 wygląda ona tak, że na danym piętrze mamy pokoje o numerach zaczynających się od cyfry mniejszej o jeden, czyli np. na czwartym piętrze numeracja zaczyna się od 300. Wyjątkiem jest jednak parter i pierwsze piętro, gdzie mamy sale o numerach odpowiednio od 1 do 23 oraz od 29 do 39.

Natomiast w B-4 numeracja zależy od tego, czy dane pomieszczenie należy do Wydziału Informatyki i Zarządzania, czy do Wydziału Mechanicznego. Przykładowo wokół patio na drugim piętrze mamy sale od 225 do 228, w których odbywają się zajęcia W-8, i sale od 2.36 do 2.42, wykorzystywane przez W-10.

Studenci Wydziału Elektroniki dobrze znają przypadek gmachu C-3/C-4. Posiada on podwójne oznaczenie, mimo że w rzeczywistości jest to tylko jeden budynek. Wchodząc do niego od strony C-1 i skręcając w prawo, trafiamy na magiczny korytarz, którego początek – zgodnie z oznaczeniami na mapie kampusu – znajduje się w C-3, a koniec w C-4. Sytuacja ta prawdopodobnie wynika z faktu, że tuż po wybudowaniu gmach ten był siedzibą dwóch różnych instytutów, a osobna numeracja miała odróżniać części przeznaczone dla poszczególnych jednostek. Nikt jednak do końca nie wie, jak było naprawdę.

NA KTÓRE PIĘTRO WJECHAĆ WINDĄ?

Na rogu ulic Łukasiewicza i Smoluchowskiego znajduje się budynek B-4, który łączy się ze znajdującym się tuż obok gmachem B-5. Ich kondygnacje są jednak przesunięte względem siebie – wychodząc z drugiego piętra B-5, należy pokonać kilkanaście schodów w dół, aby znaleźć się na tym samym piętrze w B-4. Właśnie z tego powodu winda obsługująca oba te gmachy jest

specyficzna. Numeracja poziomów we-
wnątrz niej zaczyna się na -2, a kończy
na 9, mimo że B-4 jest budynkiem tylko
pięciopiętrowym! Wynika to z faktu, że
ta dwustronna winda zatrzymuje się na
wszystkich piętrach B-5 i prawie wszyst-
kich B-4. Prawie, bo z racji konstrukcji
tego budynku nie ma do niej wejścia na
pierwszej kondygnacji. Na poziomie -2
znajduje się zatem
piwnica B-4, na -1
półpiętro B-4 odpowiadające niskiemu
parterowi B-5, na 0
parter B-4, na 1 wy-
soki parter B-5, na 2
pierwsze piętro B-5
i tak dalej, aż do po-
ziomu 9, który tak
naprawdę jest piątym piętrem B-4.

Z kolei wybierając się do budynku
C-7, czyli głównej
siedziby Wydziału
Budownictwa Lądowego i Wodnego, natknijemy się na tranzytowe windy. Dwie z nich, znajdujące się w pobliżu szatni, nie zatrzymują się na pierwszych trzech piętrach. Jedynie ostatnia winda, ustawiona prostopadle do pozostałych, umożliwia dotarcie na każdą kondygnację tego budynku.

CZY TOALETY NIE SĄ ZA MAŁE?

Interesujący jest również gmach B-9,

położony w podwórku, do którego można się dostać przez przejazd pod budynkiem B-5. Znajdują się w nim prawdopodobnie najmniejsze ubikacje na Politechnice Wrocławskiej, które śmiało można określić mianem mikrotoalet. Mimo ograniczonej przestrzeni w każdej z nich znalazło się miejsce na dwa pomieszczenia. W jednym znajduje się



FOT. AMADEUSZ ŚWIERK

umywalka, często ograniczona do wersji mini, a w drugim sedes, a także w przypadku męskich toalet pisuar. Projektant ubikacji zakładał zapewne, że jednocześnie mogłyby z niej korzystać nawet trzy osoby. W praktyce jednak minucie się wchodzącego do toalety i korzystającego z umywalki nie jest możliwe. Co

gorsza, przestrzeń w ubikacjach ograniczona jest przez szerokie drzwi, których otwieranie i zamykanie znacznie utrudnia poruszanie się.

DLACZEGO WENTYLACJA NIE DZIAŁA?

Najbardziej problematycznym gmachem na Politechnice Wrocławskiej jest jednak C-13, czyli tzw. Serowiec.

Został on oddany do użytku w 2007 r. z dwoma dość istotnymi wadami. Po pierwsze z niewiadomych przyczyn nie otwierają się w nim okna. Nie byłoby to jednak dużym problemem, gdyby istniejący w C-13 system wentylacyjny działał bez zarzutu. Tak niestety nie jest, a studenci boleśnie odczuwają ten fakt w drugiej połowie semestru letniego. W prze-

szklonej części budynku na pierwszym piętrze trudno wtedy wytrzymać dłużej niż kilka minut. Oddajmy jednak projektantom tego gmachu, że wentylacja w salach wykładowych działa bez większych problemów. ■

Krzysztof Papierniak

ROBOTIC ARENA

Gdyby zapytać studenta o to, czy jego uniwersytet tętni życiem – odpowiedź byłaby oczywista. Coś tam się dzieje, ktoś coś wie, ale ja nie do końca. Znamy z autopsji? Na szczęście nie. Można śmiało powiedzieć, że na naszej politechnice każdy znajdzie coś dla siebie. Tym razem mowa o robotyce.

Postanowiliśmy zapytać Michała Swobodę, wieloletniego członka oraz byłego prezesa KoNaRu, o warsztaty robotyczne. Wcześniej organizowano je dla tych, którzy chcieli dostać się do KoNaRu, jednakże teraz odbywają się na szerszą skalę. Wszyscy zainteresowani tą tematyką mogą pogłębić swoją wiedzę z dziedziny robotyki, a dodatkowo poduczyć się elektroniki. W zeszłym roku, kiedy to zorganizowano pierwszą edycję, wzięło w niej udział 118 osób. W tym zaś zaobserwowano aż dwukrotny wzrost. To ogromne zainteresowanie wiele świadczy o poziomie warsztatów. Michał (student automatyki oraz

robotyki), odpowiadając na pytanie, skąd pomysł na udział w zajęciach, podkreślił, że na studiach nie mają możliwości praktycznego rozwoju, który od zawsze był jego marzeniem.

Każde spotkanie warsztatowe trwa dwie godziny. Plan spotkań obejmuje podstawy elektroniki, budowy robotów, mechaniki (czyli coś na temat obudowy), a także programowania. Na koniec warsztatów odbędzie się prezentacja robotów podczas Robotic Arena – zawodów, które będą miały miejsce 10 grudnia w budynku C-13.

Robotyka to bez dyskusji intrygująca dziedzina, ale jak to bywa – bez

praktyki sama wiedza nic nie znaczy. Jeśli przyjrzymy się motywom obecnym w popkulturze, inteligentne maszyny są jednym z najczęściej poruszanych oraz różnorodnie interpretowanych. Wzbogacając przeróżne gałęzie kultury oraz dostarczając nam coraz to nowszych refleksji na temat ludzkiej egzystencji. Warto jest zatem zainteresować się tematem i dowiedzieć się czegoś więcej o tych enigmatycznych postaciach, które – kto wie – być może za kilka lat będą równie znaczącymi istotami na Ziemi jak my. ■

Marta Ulatowska

KULTURALNY LEK NA ZIMOWE SAMOPOCZUCIE

Kultura to nieodłączna część naszego życia, towarzysząca nam już od pierwszych testów możliwości wokalnych, które odbyły się zaraz po narodzeniu. Nie ulega wątpliwości, że ma ona wielki wpływ na nasze postrzeganie otaczającego świata. Jak wykorzystać moc kultury w szarobury sezon mrozu i zawiei?

Nadszedł grudzień, miesiąc jak żaden inny, pełen rozmaitych, często skrajnych emocji. Jest to czas niezwykły, kiedy dzieci (małe i duże) niecierpliwie wyczekują prezentów od Świętego Mikołaja, zewsząd słychać kolędy śpiewane z okazji Bożego Narodzenia, degustatorzy Earl Greya raczą się ulubionym trunkiem w Dzień Herbaty, a wielbicieli brunetek pozdrawiają swoje ulubienice w Światowy Dzień Pozdrawiania Brunetek. Z całą pewnością okazji do fetowania nie brakuje – każdy znajdzie coś dla siebie.

Jednak grudzień to nie tylko świąteczna sielanka. Postępujące skracanie się dnia na rzecz dłuższej nocy, za oknem widmo nadchodzącej zimy: chłód, mróz i zawieja. To wszystko sprawia, że każda próba opuszczenia domostwa zakrawa na prawdziwy akt odwagi, a studenci najchętniej podporządkowaliby się naturze i wraz z fauną oraz florą zapadli w zimowy sen. Jak w takich warunkach nie popaść w grudniowy marazm?

INŻYNIERIA KULTURY, CZYLI NIE ŚPIMY, ZWIEDZAMY!

Dla wielu może być to zaskoczeniem, ale sprawdzonym sposobem na wsparcie walki z sezonową chandrą oraz depresyjnymi nastrojami jest obcowanie z kulturą. Jak wykazali w swoich badaniach uczeni

z Norwegian University of Science and Technology, osoby niestroniące od aktywności na tej płaszczyźnie są bardziej szczęśliwe i zadowolone ze swojego życia, niezależnie od majątności czy poziomu wykształcenia. Dotyczy to w szczególności obcowania z rozmaitego rodzaju sztuką – zarówno czynnego, jak i biernego. Nie trzeba być Picassem czy Chopinem, by poprzez tworzenie lub po prostu doświadczanie oddać się światu piękna i estetyki. Można by długo wymieniać miejsca dające możliwość spotkania się z różnymi formami sztuki.

Również na Politechnice odbywa się wiele kulturalnych inicjatyw. Jedną z niewątpliwie wyróżniających się jest Inżynieria Kultury, przygotowywana przez organizację BEST Wrocław. Projekt odbywa się między 5 a 17 grudnia. Organizowane wydarzenia nie ograniczają się jedynie do elementów związanych ze sztuką, dają również okazję studentom Politechniki do rozwoju poprzez doskonalenie różnorodnych umiejętności. Uczestnicy tegorocznej edycji będą mieli okazję między innymi wysłuchać wykładu profesora Jana Miodka – autorytetu w kwestiach językowych – wziąć udział w szkoleniach z komunikacji interpersonalnej oraz asertywności, postawić kolejny krok

w drodze do osiągnięcia mistrzostwa w robieniu fotografii czy sprawdzić się w sztuce improwizacji.

NIECH ŻYJE BAL!

Innym rozwiązaniem na jesienno-zimowy spadek formy jest wzmożona aktywność sportowa, postępowanie oparte o dewizę „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Po włączeniu do tego odrobiny kultury otrzymamy remedium wręcz idealne – taniec! Jeśli po dobrym humorze pozostały jedynie wspomnienia, wszelkie pokłady energii się ulotniły, a ogarniający stres pożera na kawałki – czas ruszyć w tany! Do całej gamy walorów tej aktywności koniecznie należy dodać aspekt towarzyski. Niejedna znajomość, przyjaźń czy miłość zrodziły się podczas tanecznych uniesień. Przy nich smutek nie ma szans. Cudowną moc parkietowych płasów będzie można poczuć w trakcie warsztatu tanecznego przygotowanego w ramach Inżynierii Kultury przez członków SKTT ISKRA, najbardziej roztąńczonych studentów Politechniki. Okazją do sprawdzenia świeżo nabytych umiejętności będzie impreza w Bajerze, wieńcząca kulturalne dwa tygodnie. ■

*Filip Kołacz
BEST Wrocław*

PRAKTYCZNA STRONA STUDIOWANIA CONSILIUM – KOŁO NAUKOWE PROJEKTANTÓW CHEMICZNYCH

W dzisiejszych czasach wiele osób ma wątpliwości, czy studia są tak naprawdę potrzebne, bo idąc na praktyki czy do pracy, uświadamiamy sobie, jak niewiele potrafimy. Musimy uczyć się wszystkiego od początku, podczas gdy z wyższym wykształceniem powinniśmy już być obcy w swojej dziedzinie. Czy podczas studiów można się dodatkowo przygotować do starcia z przyszłymi praktykami, stażami czy pracą?

Studia są bardzo teoretyczne – tak bardzo, że czasami zastanawiamy się, czy to, czego się uczymy, kiedykolwiek nam się przyda w przyszłej karierze zawodowej i czy w ogóle jeszcze będziemy o tym pamiętać. Po co marnować pięć lat życia, skoro i tak w pracy będziemy zaczynać od

zera? Przecież w rzeczywistości człowiek bez studiów może się okazać bardziej zaradny od nas. Na uczelni często brak praktyki, logicznego myślenia i odzwierciedlenia rzeczywistości. Na szczęście nie wszyscy mają tak pesymistyczne spojrzenie na ten najpiękniejszy okres w naszym

życiu. Zamiast narzekać i żałować rąk gotowi są działać. Istnieją jeszcze studenci, którzy wierzą, że studia są nam potrzebne, i uważają, że student może być kowalem swojego losu – wystarczy chcieć. Grupa takich studentów z wydziału chemicznego postanowiła założyć

Koło Naukowe Projektantów Chemicznych Consilium, które będzie zaspokajało ich potrzeby i umożliwiało kontakt z przemysłem.

STUDIA DROGĄ DO SUKCESU – ZIARNO PRAWDY

– Ucz się, to będziesz mieć łatwiej w życiu – powtarzali rodzice. Czyżby to była stara dobra legenda? Być może, ale nie wolno nam zapominać, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy. Coś musi być w tym studiowaniu, że tylu ludzi wytrzymało do końca. Niemożliwe, żeby chodziło tu

jakieś wyobrażenie o większości procesów oraz duże podstawy, żeby tę wiedzę poszerzać.

Rzeczywiście, przez pięć lat nauki nabywamy pewnych nawyków, zaczynamy posługiwać się słownictwem technicznym i czasem nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Zdobytą najczęściej ogólną informację, dzięki której w przyszłej pracy będzie nam łatwiej. Gdy pojawia się jakiś problem, zwykle wiemy, gdzie szukać, czego szukać i jak szukać. Ważne, żeby podczas studiów angażować się w zadania i projekty wymagają-

co przekłada się w zawodowy nawyk działania pod presją. Studia rozwijają umysł. Po kilku latach spędzonych na uczelni patrzy się na świat inaczej i widzi się szerzej. To właśnie studia dają te podstawy, które dla studenta są niezbędne, by stać się specjalistą.

Trudno nie zgodzić się z Mateuszem i Viktoriłą. Studia to swego rodzaju pakiet startowy, dzięki któremu otwierają się przed nami nowe możliwości oraz szansa na godną pracę. Grunt to nie mieć typowego podejścia: zakuć, zdać, zapomnieć, lecz coś z tych studiów wy-



FOT. ZWYCIĘZCY KONKURSU YARY - ZAŁOŻYCIELE CONSILIMUM KOŁA NAUKOWEGO PROJEKTANTÓW CHEMICZNYCH

tylko o jakiś papierek. Założyciele Koła Naukowego Projektantów Chemicznych Consilium wierzą w to, że studia jednak mają jakiś sens:

– Spędzamy pięć lat, ucząc się mniej lub bardziej przydatnych rzeczy i nie można stwierdzić, że ten czas jest stracony – twierdzi Mateusz Nowakowski, prezes nowo założonego koła naukowego. Absolwentom szkół wyższych często może się wydawać, że niczego ważnego ich nie nauczono, jednak podczas studiów posługiwali się przecież pojęciami specjalistycznymi i z pewnością mają też

ce kreatywnego myślenia, ponieważ to pozwoli nam na szybsze rozwiązywanie problemów w przyszłej pracy. Studia to nie tylko zdobywanie wiedzy – dzięki nim możemy też wyrobić w sobie pewne nawyki, które przydadzą nam się w życiu zawodowym i o tym mówi Wiceprezes ds. Finansowych Koła Naukowego Consilium, Viktoriła Dromaretska:

– Oczywiście jest, że nie nadajesz się do pracy w zawodzie zaraz po pożegnaniu ze szkolną ławką. Studia uczą regularnego podejścia do zdobywania wiedzy. Wielu z nas musi trochę pokombinować,

ciągnąć. Ważne jest, żebyśmy umieli selekcjonować informacje i tę część teorii, która może nam się przydać w przyszłej pracy – zapamiętać, a to, co jest mniej istotne – zignorować.

PIERWSZE STARCIE Z RZECZYWISTOŚCIĄ – PRAKTYKI ZAWODOWE

Często się zdarza, że na rozmowach kwalifikacyjnych na praktyki czy nawet do pracy nie pytają nas o to, co zamierzamy robić za dziesięć lat, a o konkrety: jak coś policzyć, od czego zacząć, czasem nawet o teorię... Przekonał się o tym Mateusz

podczas praktyk w Biurze Projektowym przy Zakładach Azotowych w Kędzierzynie-Koźlu. Zapytał wówczas opiekuna swoich praktyk, jak przebiega rozmowa kwalifikacyjna na stanowisko projektanta, a w odpowiedzi usłyszał historię pewnej świeżo upieczonej absolwentki uczelni technicznej, która, zapytana o pewne zagadnienia ze studiów, jako jedyna z wielu kandydatów знаła odpowiedź i dzięki temu dostała pracę.

Praktyki i staże to, oprócz możliwości zdobywania doświadczenia zawodowego, okazja do refleksji, czego brakuje nam na studiach, na co powinniśmy zwrócić uwagę, wracając na uczelnię i w co jeszcze moglibyśmy się zaangażować jako studenci, by w przyszłości było nam łatwiej.

Mateusz przyznaje, że pasja do jego kierunku studiów nie pojawiła się od razu. To właśnie dzięki stażowi utwierdził się w przekonaniu, że wybrał dobrze, mało tego, odkrył, że inżynieria chemiczna daje mu więcej możliwości, niż sądził:

– Dopiero trzymiesięczny staż w PCC Rokita uświadomił mi, jak interesujący jest przemysł chemiczny i jak ciekawe są moje studia. Jednak samo spędzenie czasu na instalacji chemicznej pozostawiło pewien niedosyt i stąd pojawił się pomysł na dodatkową praktykę zawodową w biurze projektowym. Było to zupełnie inne doświadczenie niż oglądanie pracy na instalacji chemicznej, gdyż studia nie dają nam wiedzy projektowej. Tę wiedzę zdobywa się tylko poprzez kilkuletnie doświadczenie. Przez miesiąc praktyk starano się mi zobrazować, jak wygląda praca w biurze i jak zaprojektować podstawowe aparaty. Było to dla mnie niesamowite intelektualne wyzwanie. Siedziałem po osiem godzin przy komputerze i książkach, cały czas myśląc, jak to w rzeczywistości działa. Często, jak już policzyłem aparat, padały pytania o rzeczy, które projektant musi dodatkowo zaprojektować lub uwzględnić, a tego typu zagadnień, niestety, nie ma czasu zgłębić na studiach.

Te braki na uczelni, o których wspominał Mateusz, niewątpliwie miały wpływ na decyzję o założeniu koła naukowego, ale nie tylko one...

STUDENT KOWAŁEM SWOJEGO LOSU
Żyjemy w czasach, w których, wbrew pozorom, jako studenci mamy ogromny wpływ na to, jak będą wyglądały nasze zajęcia na uczelni. Możemy w kółko narzekać na to, co nam się nie podoba, ale znacznie lepiej jest zadziałać i na przykład wziąć udział w ankietyzacji zajęć, by dać odpowiednim organom sygnał, że coś jest nie tak, coś wymaga zmiany,

dopracowania, ulepszenia. Ponadto, jeśli na zajęciach czujemy niedosyt i chcemy się rozwijać, mamy możliwość dołączenia do organizacji studenckich lub kół naukowych mogących zaspokoić nasz apetyt na wiedzę.

Co jeśli okaże się, że nadal czegoś nam brakuje na uczelni? Możemy wówczas pójść o krok dalej i stworzyć nowe koło naukowe, analogicznie do obecnego zarządu Consilium. Podobno łatwo nie było i to nie dlatego, że jest to jakaś bardzo skomplikowana procedura, lecz dlatego, że na wydziale chemicznym działa zbyt wiele kół naukowych. W związku z tym założyciele musieli udowodnić, że organizacji dającej takie możliwości jeszcze na ich wydziale nie było.

– Założyliśmy koło, które będzie łączyło studentów z różnych dziedzin (głównie technologia chemiczna oraz inżynieria chemiczna i procesowa), by tworzyć zespoły interdyscyplinarne i rozwiązywać problemy na istniejących instalacjach chemicznych od konkretnych firm – tłumaczy Viktoriya. – Obecnie aktywnie nawiązujemy współpracę z firmami. Jedyne, czego potrzebujemy, to problem *stricte* z produkcji danej firmy i jego opis. Podczas semestru będziemy mieć spotkania projektowe, gdzie nasi członkowie opowiedzą o swoich pomysłach i ciekawych rozwiązaniach. Nasze motto to „Twórzmy naukę w prostych słowach”. Właśnie dlatego naszą kolejną inicjatywą są wykłady „Od studenta do studenta”, gdzie nie przynudzając, dzielimy się doświadczeniem i wiedzą. Żadne inne koło nie działa w ten sposób.

Jednym z celów Koła Naukowego Projektantów Chemicznych Consilium jest, jak wspomniała Viktoriya, kontaktowanie się z różnymi firmami z branży chemicznej i pozyskiwanie informacji o tym, z jakimi problemami borykają się na produkcji, jakiego typu innowacji poszukują, co chcieliby ulepszyć w danej instalacji. Członkowie koła podzielą się na czteroosobowe grupy, z których każda będzie pracować nad rozwiązaniem przydzielonego jej problemu spośród tych przedstawionych przez współpracujące z kołem firmy. To pozwoli członkom na ćwiczenie kreatywnego myślenia, zetknięcie z przemysłem i jego problemami, a także kontakt z potencjalnym pracodawcą.

Oprócz projektowania innowacyjnych rozwiązań dla przemysłu, członkowie Consilium będą uczyć się pracy z programami komputerowymi używanymi w branży chemicznej, takimi jak AutoCad czy Inventor, oraz dzielić się między sobą wiedzą zdobytą na kierunkach swoich studiów.

Skąd pomysł na takie koło? Otóż w zeszłym roku na wydziale chemicznym ogłoszono konkurs organizowany przez norweskie przedsiębiorstwo produkujące nawozy sztuczne – Yara International ASA. Zadaniem konkursowym było zaprojektowanie instalacji selektywnej ekstrakcji kwasu fosforowego z fosforytu. Projekt aktualnych założycieli Consilium zajął pierwsze miejsce. W nagrodę studenci pojechali do siedziby firmy Yara w Norwegii.

– Można powiedzieć, że konkurs związany z zaprojektowaniem instalacji dla Yara miał duży wpływ na założenie naszego koła – przyznaje Mateusz. – Wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, że do rozwoju branży chemicznej potrzebna jest współpraca zarówno technologów, jak i inżynierów procesowych. Połączona wiedza z tych dwóch dziedzin jest kluczowa, by opracować projekt mający szansę na realne zrealizowanie. Stąd pomysł stworzenia cyklu wykładów „Od studenta do studenta”, podczas których dzielimy się wiedzą zdobytą na swoich kierunkach. Staramy się też realizować projekt podobny do konkursu Yara, bo uważamy, że poprzez praktykę i wymianę myśli między studentami można nauczyć się więcej niż podczas wykładów czy laberek. Dalsze losy koła leżą jedynie w rękach studentów. Zobaczymy, czy koncepcja się przyjmie, czy nie. Będziemy się jak najbardziej starać zarazić innych naszą pasją do kierunków, które studiujemy, bo ta pasja to najważniejszy czynnik, który napędza nas do działania.

Jak widać Consilium ma służyć nie tylko kontaktowi z przemysłem, ale także przekazywaniu sobie tajemnej wiedzy studentów z różnych kierunków w prostych słowach oraz przystosowania do pracy w grupach. Założyciele koła żywią też głęboką nadzieję, że w przyszłości członkowie będą wyróżniali się na rynku pracy.

– Gdy kończymy studia, do głowy przychodzi pytanie: „Czego tak naprawdę się nauczyłem, co potrafię?” Jednym z celów naszego koła jest sprawienie, by na przykład odpowiadając na to pytanie przyszłemu pracodawcy, członkowie naszego koła potrafili go pozytywnie zaskoczyć – dodaje na koniec Viktoriya.

Nie pozostaje nam nic innego, jak życzyć sukcesu i trzymać mocno kciuki za powodzenie pełnych zapału technologów i inżynierów procesowych. Takie podejście do studiów jest godne podziwu, motywuje do działania i przywraca wiarę w ich sens. ■

Magdalena Legendziewicz

NASZ WŁASNY TEDx

W czasach postępującej globalizacji i Internetu niezwykle szybko szerzą się (niektóre) idee. Okazuje się, że nawet coś tak prostego jak wykład, prelekcja, konferencja, może otrzymać zastrzeżoną formę i podbić świat, a nawet dotrzeć na PWr.

Mowa o formacie TEDx, czyli projekcie siostrzanym do słynnych amerykańskich konferencji TED (ang. Technology, Entertainment and Design), poruszających tematy nie tylko naukowo-technologiczne, ale i na przykład humanistyczne. Wersja z „x” w nazwie może być organizowana przez każdego, kto otrzyma licencję od Sapling Foundation i spełni odpowiednie warunki; po takich wydarzeniach na WSB i UE nadszedł czas na Politechnikę. Grupa, w większości już doświadczonych w działalności, studentów postanowiła zorganizować TEDx pod chwytliwym tytułem „Od zera do Bohatera”. – Wierzimy, że PWr jest miejscem nie tylko poszerzania swojej wiedzy czy rozwijania umiejętności miękkich, ale to również istotny ośrodek kultury – mówi Przemysław Lewandowski, w projekcie odpowiedzialny za promocję. – Z roku na rok można zauważyć, że studenci naszej uczelni poszerzają swoje zainteresowania o tematy niekoniecznie tylko techniczne, więc prędzej czy później prawdopodobnie powstałby TEDx na Politechnice Wrocławskiej, ale my postanowiliśmy być pierwsi – dodaje.

Tak jak TED, nasi koledzy również nie zamykają się jedynie w zagadnieniach

technologicznych. Zaproszeni prelegenci będą reprezentować także świat nauki czy biznesu, a niektóre tematy mają być, jak zapewniają organizatorzy, niesztampowe i niepoddające się kategoryzacji. Gdy piszę te słowa, do wydarzenia odbywającego się 11 grudnia jeszcze sporo czasu, a już uchylono rąbka tajemnicy co do personaliów niektórych gości. Co ciekawe, część mówców została wybrana drogą konkursu wśród środowiska uczelni. – W tej chwili na sto procent możemy potwierdzić, że zaprosiliśmy związanego z Politechniką Radka Czahajdę, znaną ze swoich technik nauczania Patrycję Obarę, Artura Makiełę, zajmującego się tematami podświadomości, oraz Waldemara Kastę, rapera oraz konferansjera KSW – te słowa Przemka zapewne będzie można uzupełnić o kolejne nazwiska na początku grudnia, w chwili, gdy ten numer „Żaka” dotrze na stojaki.

Autorzy oryginalnej konferencji TED mają wysokie ambicje: piszą o szerzeniu idei zmieniających życie i świat. Nie inaczej jest z organizatorami TEDx na Politechnice Wrocławskiej: cele, jakie sobie stawiają, są ambitne. – Projekt ten ma między innymi na celu zmuszenie do autorefleksji oraz przemyślenia własnej

drogi do stania się bohaterem. Każda idea zaprezentowana na konferencjach TED i TEDx jest wyjątkowa, może wniesić pozytywną energię do czyjegoś życia – tłumaczy Przemek. – Tworząc to wydarzenie, chcemy dać naszym koleżankom i kolegom możliwość współuczestniczenia w szerzeniu się tych niezwykle idei w murach naszej uczelni, by mogli je posłać w świat – dodaje.

Pojawia się jednak pytanie, ile wiedzy i idei można przekazać podczas osiemnastu minut; takie jest bowiem ograniczenie czasowe wystąpienia każdego mówcy podczas konferencji. Popularność tego formatu pokazuje, że najwyraźniej tkwi w tych krótkich wystąpieniach coś, co sprawia, że odtworzenia takich nagrań na YouTube’ie idą w miliony. Niedowiar-kowie niewiedzący, co tak przyciąga ludzi do wymyślonych za oceanem wystąpień, będą mogli, dzięki studentom PWr, doświadczyć tego fenomenu. ■

Aleksander Spyra

Chcesz wiedzieć więcej o konferencji?
Wszystkie informacje dostępne są na
stronie <http://tedxpolitechnikawroclawska.pl/>

ŁĄCZĄ BEZPRZEWODOWO: WIRELESS GROUP

W 2015 przesłali Wi-Fi na odległość 250 km, pobijając rekord Polski, w tym roku akademickim mają już za sobą konferencję o przyszłości sieci bezprzewodowych, a w międzyczasie zapewniają dostęp do Internetu podczas wydarzeń na Politechnice, poszerzają swoją wiedzę, próbują, eksperymentują i wymyślają nowe projekty. Koło naukowe Wireless Group rozwija się z prędkością LTE, a jego działalność ma zasięg przekraczający granice kampusu.

Wireless Group to koło naukowe działające na wydziale Elektroniki przy Katedrze Telekomunikacji i Teleinformatyki. Zajmuje się ogólnie pojętym bezprzewodowym przesyłem danych, w szczególności technologią Wi-Fi oraz LTE. Nie są jednak zamknięci na inne rozwiązania. To nie jest tak, że negujemy pozostałą część telekomunikacji i teleinformatyki. Skupiamy się również na kwestiach zabezpieczeń i infrastruktury sieciowej – tłumaczy Mateusz Chudziński, członek koła. Wiedza dotycząca technologii przewodowych jest

także przedmiotem zainteresowania organizacji. Żeby transmitować dane za pomocą anteny, trzeba użyć kabla, by je do niej przesłać – uzupełnia Marek Wesołowski, prezes Wireless Group.

WIELKIE PROJEKTY

Największym i najbardziej ekscytującym projektem realizowanym przez Wireless Group był projekt Radiolinia. Jego celem było zbudowanie sieci Wi-Fi o wielokilometrowym zasięgu. Cel został osiągnięty w czerwcu 2015 roku, kiedy członkowie

koła pobili rekord Polski w przesyłaniu danych na największą odległość, jednocześnie osiągając drugi wynik w Europie i trzeci na świecie. Odległość wynosiła 250 km a połączenie było na tyle stabilne, że bez problemu przeprowadzono rozmowę przez Skype z drugą częścią ekipy. Budzi to zapewne ogromną zazdrość studentów, którzy właśnie w tej chwili próbują korzystać z Wi-Fi naszej uczelni i męczą się z załadowaniem prostej strony z kilkoma obrazkami...

Jak wyglądała realizacja projektu?

Wszystko zaczęło się od obliczeń i analizy map topograficznych. Koniecznym warunkiem do połączenia na tak dużą odległość było znalezienie dwóch wysoko położonych punktów, pomiędzy którymi nie ma wzniesień, które mogłyby blokować sygnał. Wybrano górę Wielka Sowa w okolicy Wałbrzycha i Babią Górę koło Żywca. Następnie rozpoczęto testy na mniejszych odległościach, najpierw na terenie Wrocławia (na odległościach 2 km oraz 3,5 km), a potem podjęto odważniejsze próby – między Politechniką a górą Ślęza (ok. 40 km) oraz Śnieżką (ok. 100 km). Wszystkie testy zakończyły się sukcesem, więc zaczęto przygotowania do pobicia rekordu Polski, który wówczas wynosił 218 km. W czerwcu studenci wnieśli na własnych barkach potężne anteny na wybrane szczyty, spróbowali się połączyć i... udało się! Rekord został pobity, a osiągnięty wynik wcale nie był bardzo odległy od rekordu świata, który został ustanowiony w Wenezueli w 2007 roku i wynosi 382 km.

Projekt Radiolinia nie jest jedynym działaniem koła. Na początku tego semestru studenci zorganizowali konferencję Future of Wireless Systems 2016. To już piąta edycja tego wydarzenia, które podejmuje temat rozwoju sieci bezprzewodowych. Na konferencji pojawili się przedstawiciele firm związanych z telekomunikacją i teleinformatyką oraz naukowcy. W drugim dniu konferencji odbył się panel studencki. W wydarzeniu wzięło udział około 200 osób. Tematami przewodnimi były najnowsze trendy i kierunki rozwoju sieci bezprzewodowych, cele, jakie ma do osiągnięcia przyszła technologia, oraz

przewidywania dotyczące przyszłości telekomunikacji.

Oprócz tego cały czas jest prowadzony projekt N.O.M.A.D, czyli Niezależny Otwarty Moduł Adaptacyjno-Dostępowy. Pomimo skomplikowanej nazwy inicjatywa ma prosty cel – zapewnienie szybkiego i niezawodnego dostępu do Internetu dla studentów Politechniki w czasie imprez organizowanych przez organizacje działające na naszej uczelni. Jeśli więc uczestniczycie w turnieju gier online lub innym wydarzeniu, którego podstawą jest dostęp do Internetu, to możecie mieć niemal stu-procentową pewność, że jest ono wspierane przez Wireless Group.

Od zakończenia projektu Radiolinia minął już ponad rok, jeśli jednak przyszło komuś na myśl, że koło naukowe Wireless Group ma swój złoty okres za sobą, to nie może bardziej się mylić. Prezes organizacji, Marek Wesołowski, zdradził nam, że przygotowywany jest kolejny ekscytujący projekt. Studenci planują bowiem stworzenie gry wykorzystującej Wi-Fi do bardzo dokładnej lokalizacji użytkownika. Po sukcesie Pokemon Go, w którym położenie gracza było śledzone przez GPS, nadszedł czas na bardziej precyzyjny system. Wykorzystanie technologii Wi-fi sprawi, że dokładność śledzenia wzrośnie i będzie możliwe np. poruszanie po szczegółowych planszach. Szczegóły projektu owiane są tajemnicą i pozostaje nam czekać na informacje o kolejnych etapach realizacji pomysłu.

WEWNĘTRZNE DZIAŁANIA

Działanie organizacji nie ogranicza się tylko do kilku projektów i wydarzeń. Koło

spotyka się cyklicznie. Jego członkowie omawiają nowe technologie i teoretyczne zagadnienia dotyczące bezprzewodowego przesyłu danych, ale także poznają praktyczne rozwiązania. Spotkania są okazją do podzielenia się wiedzą, wypróbowania zdobytych informacji w praktyce oraz przedyskutowania pomysłów. Członkowie nie tylko dzielą się entuzjazmem, ale mogą też liczyć na pomoc przy realizacji studiów i pisaniu prac dyplomowych.

REKRUTACJA

Organizacja aktualnie prowadzi rekrutację nowych członków. Większość działaczy to studenci Teleinformatyki i Telekomunikacji, ale koło jest otwarte na wszystkich pasjonatów sieci bezprzewodowych. Koniecznym wymogiem jest zaangażowanie i chęć zdobywania nowej wiedzy i umiejętności z tej dziedziny. Zainteresowani są serdecznie zaproszeni na jedno ze spotkań koła, a termin najbliższego spotkania można poznać, kontaktując się z prezesem koła, Markiem Wesołowskim, pod adresem wesołowski.ma@gmail.com.

Dlaczego warto należeć do Wireless Group? Dzięki członkostwu można poszerzyć swoją wiedzę, poeksperymentować z nowoczesnym sprzętem i powymieniać poglądy z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Jeśli interesujesz się przesyłaniem danych, nie bój się! Bycie członkiem koła daje większe możliwości zdobycia praktycznych umiejętności, a uczestnictwo w projektach może zaowocować przydatnymi znajomościami na rynku pracy. Nic, tylko wysłać zgłoszenie z prędkością LTE! ■

Aleksandra Mizgala

ŻYCIE W ŚWIECIE POWSZECHNEGO EKSHIBICJONIZMU

W dzisiejszych czasach świat Facebooka stał się prawie tak samo ważny jak rzeczywistość. Jednak w Internecie nieświadomie ubierasz różowe okulary - wszyscy są piękni i zadbani, porażki i problemy nie istnieją, a ty jesteś uwielbiany przez całą rzeszę znajomych. Wiemy wszystko - kto, z kim, gdzie, kiedy i dlaczego. Ludzie zaczęli traktować portale społecznościowe jako swój pamiętnik, tablicę korkową lub album ze zdjęciami i robią to całkiem bezmyślnie, wierząc, że napisane posty zostaną zapomniane, a oni sami są całkowicie anonimowi. Skąd taka chęć uzewnętrzniania się? Jak Facebook wpływa na nasze życie?

Facebook został założony w 2004 roku przez Marka Zuckerberga, by utrzymywać szkolne znajomości, wysyłać wiadomości i dzielić się zdjęciami. Z czasem zyskiwał on coraz więcej użytkowników, co zachęciło twórców do rozszerzenia go o różne dodatkowe funkcje i aplikacje. W styczniu 2016 roku agencja We are social przeprowadziła badania, z których

wynika, że aktywne konto na Facebooku posiada 1,550 miliardów ludzi z całego świata, w tym 14 milionów z Polski. Tak ogromny zasięg i zainteresowanie wśród większości młodych osób spowodowały, że Facebook stał się jedną wielką reklamą nie tylko przedsiębiorstw, wydarzeń i produktów, ale przede wszystkim naszego życia.

AUTOPREZENTACJA

Przez nieograniczony dostęp do Internetu, zieloną kropką jesteśmy non stop, jak nie na komputerze, to na komórce czy tablecie. Facebook to aktualnie sposób na podzielenie się z innymi każdym aspektem naszego życia. Kasia się zaręczyła, Ela zerwała z chłopakiem, a Michał poleciał na wakacje do Stanów Zjednoczonych. Facebookowy

profil to nasza wizytówka... Niestety w większości przypadków nieprawdziwa. Człowiek stwarza swój fikcyjny obraz, idealizuje się, jest kimś zupełnie innym. Ile razy zdarzyło się, że osoba ze zdjęcia nie przypominała siebie w rzeczywistości? Tylko po co to robimy? Otóż te małe kłamstewka działają na nasz charakter podbudowująco, ponieważ każdy w oczach znajomych „chce być fajny”. Kreujemy własną postać, jak chcemy, przypisujemy sobie pewne cechy i dzielimy się tym, co jest warte uwagi. Tym samym, wchodząc w przeróżne role, zostaliśmy kukiełkami we własnych rękach.

CIEMNA STRONA

Patricia Wallace w swojej książce *Psychologia Internetu* zauważa, że głównym problemem użytkowników Internetu jest zbyt „skoncentrowanie na własnym ja”, co objawia się chwaleniem się wszystkim w mediach społecznościowych. Potwierdzają to także badania naukowców z Uniwersytetu Sun Yat-Sen w Tajwanie, które dowiodły, że użytkownicy wykazujący się dużą aktywnością na Facebooku mają niższy poziom zachowań prospołecznych, a wyższy poziom działań na własną korzyść, co skutkuje złymi stosunkami z innymi i brakiem empatii. Jaki wniosek? W sieci jesteśmy w pewien sposób narcyzami. Publikując różne posty czy zdjęcia, podświadomie chcemy, by ludzie nas obserwowali i interesowali się naszym życiem. Zupełnie jak małe dzieci, oczekujemy ze strony znajomych uwagi. Prowadzi to do obsesji i zadawania sobie pytań – co myślą o mnie inni, czy im się podobam, jak zareagują na mój post.

Czasami nie zdajemy sobie sprawy, że ludzie koloryzują swoją codzienność, zdjęcia retuszują, a prawdziwe fakty zmieniają. Naukowcy z brytyjskiego Stowarzyszenia Neuropsychologii przeprowadzili badania, które dowiodły, że 2/3 ludzi w Internecie kłamie lub zmienia rzeczywistość. Takie zachowanie może skutkować zapomnieniem, co jest prawdziwe, a co nie. Określa się to mianem cyfrowej amnezji, czyli wizerunkiem w coś, co nigdy nie miało miejsca.

Porównywanie się z innymi osobami pogarsza nasze samopoczucie, obniża samoocenę, a nawet może prowadzić do depresji. Rozczarowanie przychodzi też wtedy, gdy zdamy sobie sprawę, że nasza postać w życiu realnym jest inna niż w świecie wirtualnym. Poprzez powierzchowną analizę mamy wrażenie, że drugi człowiek ma lepiej, jest szczęśliwszy i odnosi więcej sukcesów, ale jest to tylko złudzenie.

Tak jak w życiu, również i na Facebooku istnieje hierarchia społeczeństwa, którą wyznacza ilość polubień, komentarzy i znajomych. Ludzie, szczególnie w młodym

wieku, mają na to wielkie parcie, ponieważ przyjęło się, że im więcej lajków, tym osoba jest sympatyczniejsza, bardziej towarzyska i otwarta. A co gorsza, oceniając kogoś, w wielu przypadkach się tym właśnie sugerujemy. U osób wrażliwych i nieznających zasad panujących w świecie social mediów, zaburzone jest poczucie własnej wartości, co skutkuje kompleksami, które niekorzystnie wpływają na relacje z otoczeniem. Jako że „walka o lajki” jest zjawiskiem dosyć skomplikowanym i trudno jednoznacznie stwierdzić, czym jest ona spowodowana, postanowiłam spytać o to społeczność naszej uczelni. Dwaj napotkani przeze mnie studenci pierwszego roku Mechaniki i Budowy Maszyn zgodnie stwierdzili, że dany post konkretnej osoby lubią po to, by podtrzymać z nią znajomość. – Ktoś kliknął mi, to ja jemu w zamian też powinienem, nawet jeśli coś mi się nie podoba lub w ogóle tego postu nie przeczytałam ani nie otworzyłam. Sam lubię zbierać dużą ich ilość, bo czuję się wtedy zauważony – opowiadają. A na pytanie, skąd taka chęć dzielenia się wszystkim ze światem krótko odparli – Takie mamy czasy...

JESTEŚ OBSERWOWANY

Użytkownicy na Facebooku dzielą się na dwa rodzaje: wirtualnych ekshibicjonistów i ich podglądaczy. Teraz życie towarzyskie zamiast na kawie, kwitnie w Internecie. Nawet nie musisz wstawać z łóżka, aby dowiedzieć się, co słychać u twoich znajomych. Taka rozmowa jest o wiele mniej wartościowa, głównie przez brak sygnałów niewerbalnych między osobami. Jednak zapewne o wiele częściej po prostu siedzisz cicho i z czystej ciekawości obserwujesz. Żyjesz życiem innych ludzi, zapominając o swoim. Z drugiej strony ty także jesteś podglądany. W Internecie nic nie ginie i wszystko jest trwałe, dlatego jeśli lubisz dzielić się ze znajomymi informacjami o sobie, pomyśl o dobraniu odpowiednich ustawień prywatności, by twoje dane nie dostały się w niepowołane ręce.

Jednak jeśli wydaje ci się, że możesz być śledzony tylko przez swoich znajomych, to jesteś w błędzie. W ostatnich latach coraz częściej mówi się o weryfikowaniu profili potencjalnych kandydatów przy przyjmowaniu do pracy. Z raportu *Social Recruiting Survey 2014* firmy rekrutacyjnej Jobvite wynika, że praktykuje to aż 93% pracodawców, z czego 61% ludzi zostaje odrzuconych właśnie przez swoją prezentację w mediach społecznościowych. Ze względu na to może warto zrobić porządek ze swoją tablicą?

POKOLENIE FACEBOOKA

Facebook doczekał się nawet własnej jednostki chorobowej. Coraz więcej ludzi jest

od niego uzależnionych, dlatego wprowadzono nowy termin – FAD (*Facebook Addiction Disorder*). Choroba wykrywana jest przy pomocy sześciu kryteriów, z czego osoby na nią cierpiące muszą spełniać co najmniej dwa lub trzy w przeciągu od sześciu do ośmiu miesięcy. Uzależnieni są głównie ludzie młodzi, którzy ze światem Internetu zetknęli się już w dzieciństwie i stał się on dla nich ważniejszy od życia realnego – nazywa się ich Pokoleniem Facebooka.

Internet to także wielki pożeracz czasu, dlatego aby sprawdzić, czy nie marnujemy go na Facebooku, holenderska agencja reklamowa *Just* zorganizowała kampanię społeczną „99 dni wolności”. Można do niej dołączyć w każdej chwili – wystarczy zarejestrować się na stronie internetowej akcji i przez 99 dni nie logować się na stronę, nie udostępniać wpisów i nie wysyłać wiadomości. Według agencji korzystamy z Facebooka średnio 17 minut dziennie, co oznacza, że przez okres wolności mógłbyś zaoszczędzić 1683 minuty, czyli prawie 28 godzin! Na Facebooka nie powróciło 25% użytkowników, którzy brali udział w akcji, a znaczna ilość twierdzi, że była bez niego szczęśliwsza i miała więcej wolnego czasu.

„Nie masz Facebooka – nie istniejesz” to chyba najczęstsze stwierdzenie, które może usłyszeć osoba niebędąca użytkownikiem portalu. Wśród młodych ludzi jest to zjawisko bardzo rzadkie, dlatego znalezienie osoby niezarażonej fenomenem Facebooka lub sporadycznie go używającej nie było takie łatwe. – Nie mam Facebooka, bo nie chcę, by ludzie wiedzieli o mnie więcej, niż powinni. Wszystkie materiały, które dostępne są na grupie mojego kierunku, koleżanka wysyła mi na maila. Niektórzy dziwią się, że nawet z tego powodu nie zdecydowałam się na założenie konta; bo jest to kłopotliwe, ale dla mnie to cena, jaką płacę za swoją prywatność i wolny czas. Zamiast pisać na czacie, wolę umawiać się ze znajomymi na mieście – mówi studentka Biotechnologii Wydziału Chemicznego.

TO NIE ŻYCIE

Facebook to idealne narzędzie do komunikowania się z innymi użytkownikami, tworzenia grup i konferencji, a na studiach wręcz niezbędne. Czasem miło jest poczytać, co dzieje się w życiu starych znajomych albo samemu udostępnić zdjęcia z wakacji, ale róbmy wszystko z głową i pełną świadomością. Zalet jest tyle samo, ile wad. Niestety, przed portalami społecznościowymi w dzisiejszych czasach nie uciekniemy, ale możemy ograniczyć na nich swoją aktywność. I nie zapominajmy, że nasze życie realne zawsze powinno znaleźć się na pierwszym miejscu. ■

Paulina Napierała

Z PERSPEKTYWY PIESZEGO

Każdy z nas czasami bywa pieszym, nawet jeśli zwykle porusza się po mieście autobusem, rowerem, samochodem lub tramwajem. Mimo to często nie zwracamy uwagi na problemy, z jakimi spotykają się na co dzień osoby chodzące po Wrocławiu na własnych nogach.

Największe bolączki to brakujące przejścia dla pieszych, zniszczone lub zastawione przez samochody chodniki, konieczność korzystania z kładek lub przejść podziemnych i zbyt krótki czas zielonego światła na pasach. Problemy te są szczególnie uciążliwe dla osób starszych i niepełnosprawnych, a także poruszających się z wózkami dziecięcymi. Powinniśmy pamiętać, że nie każdy z nas jest młodym studentem

niemającym żadnych problemów ze zdrowiem. Wokół są również osoby, dla których pokonanie kilkudziesięciu schodów w przejściu podziemnym lub sprint przez pasy na zielonym świetle mogą być zadaniami nie do wykonania.

PIESI GÓRA

Najgłośniejszym przykładem miejsca we Wrocławiu, w którym brakowało przejść dla pieszych, jest Rondo Reagana. Zgodnie z pierwotnym projektem przebudowy w 2008 roku miały się na nim znaleźć cztery zebry, które umożliwiłyby pieszemu dostanie się na przystanki tramwajowo-autobusowe znajdujące się na środku skrzyżowania. Pomimo obniżenia krawężników w miejscach pasów skończyło się jedynie na planach, a piesi zostali zmuszeni do chodzenia na około i korzystania z przejścia podziemnego. Było to szczególnie uciążliwe dla pasażerów linii tramwajowej nr 1 – ich droga na pozostałe przystanki uległa znacznemu wydłużeniu. Działo się tak, mimo że dr inż. Bogusław Molecki z Politechniki Wrocławskiej wykazał, że istniejący program sygnalizacji świetlnej uwzględnia brakujące przejścia i bez większych przeszkód mogłyby one powstać. Po latach działań aktywistów Urząd Miejski w końcu zdecydował się je wybudować i od końca sierpnia 2016 roku możemy



FOT. MICHALINA KACPERAK

wreszcie korzystać z trzech z nich.

Z kolei najbardziej znanym wrocławskim przejściem podziemnym jest to znajdujące się przy ulicy Świdnickiej. Powstało ono w latach 70. XX wieku podczas budowy trasy W-Z, która podzieliła Stare Miasto na dwie części. Było niewygodne dla pieszych z racji braku ramp lub wind, z których mogłyby skorzystać osoby niepełnosprawne oraz poruszające się z wózkami dziecięcymi. Problem ten dotyczy zresztą większości przejść podziemnych i kładek we Wrocławiu, jednak sytuacja powoli zmienia się na lepsze. W zeszłym roku Przejście Świdnickie zostało wyremontowane, a obok niego powstały pasy umożliwiające bezproblemowe dostanie się na przystanki tramwajowe oraz na drugą stronę ulicy Kazimierza Wielkiego.

NIELEGALNE PARKOWANIE

Od kilku lat codziennym widokiem na naszych ulicach stały się chodniki i przejścia dla pieszych, które praktycznie w całości zastawione są przez zaparkowane samochody. Większość kierowców – mimo posiadania prawa jazdy i teoretycznej znajomości przepisów – nie zostawia obowiązkowego miejsca na chodniku o szerokości co najmniej 1,5 m. Mało kto pamięta też o tym, że nie wolno parkować w odległości mniejszej niż 10 m

od skrzyżowania lub przejścia dla pieszych. Część kierowców nie widzi w tym problemu i po zwróceniu uwagi mówi, że przecież auto można obejść. Spróbujmy to jednak powiedzieć osobie z wózkiem dziecięcym, która przeciska się pomiędzy samochodami na chodniku, a następnie wchodzi na przejście dla pieszych i nie widzi, czy coś jedzie ulicą, bo nielegalnie zaparkowane samochody ograniczają jej widoczność. Tego rodzaju problem występuje również na

ulicach w obrębie kampusu Politechniki Wrocławskiej.

WYŚCIGI NA PASACH

Często mamy do czynienia ze zbyt krótkim zielonym światłem na przejściach dla pieszych. W wielu miejscach Wrocławia pali się ono zaledwie przez kilka sekund, uniemożliwiając w ten sposób przejście w spokojnym tempie na drugą stronę ulicy. Piesi zmuszani są do czekania przez ponad minutę na zielone, a gdy już się ono zapali, to często jedynym wyjściem jest sprint przez pasy, aby zdążyć przed ruszającymi samochodami. Co gorsza, światła dla pieszych bywają ze sobą niesynchronizowane i uniemożliwiają przejście na raz przez całą ulicę.

Na problem zbyt krótkiego zielonego często zwracają uwagę obcokrajowcy przyjeżdżający do stolicy Dolnego Śląska. Są oni zdziwieni, że w naszym mieście piesi są zmuszani do biegania przez pasy. Sprawa ta jest również przedmiotem zainteresowania miejskich aktywistów. Walczą oni o wydłużenie zielonego światła na wrocławskich przejściach dla pieszych. W kwietniu tego roku zorganizowali również happening, w ramach którego odbyły się wyścigi na pasach obok Muzeum Narodowego. ■

Krzysztof Papierniak

ZAPOWIADA SIĘ DOBRA PRACA CZYLI WSZYSTKO CO MUSISZ WIEDZIEĆ O CV

Jak napisać świetne CV? Jakie zdjęcie będzie najlepiej prezentowało się w naszym życiorysie? Co napisać w wiadomości do pracodawcy? W niniejszym artykule wychodzę naprzeciw oczekiwaniom wielu z was, przedstawiając niezbędne informacje potrzebne do zdobycia upragnionego zatrudnienia.

W ostatnim czasie przyszło mi zmierzyć się ze stworzeniem swojego idealnego CV. W dobie wszechobecnego Internetu i zalewających nas z każdej strony informacji, trudno było znaleźć jednoznaczne wytyczne i wskazówki. Ogólnie rzecz biorąc, nie istnieje żaden uniwersalny wzór *curriculum vitae*. Jednak są pewne zasady i reguły, których należy się trzymać, abyś zaprezentował się pracodawcy z jak najlepszej strony, co będzie twoją przepustką do wymarzonej kariery.

WYMOGI FORMALNE CV

Curriculum vitae to chronologiczny życiorys obejmujący opis kariery, edukacji oraz osiągnięć zawodowych. CV tytułujemy pełną nazwą, następnie umieszczamy swoje dane osobowe, czyli imię i nazwisko, adres zamieszkania, datę urodzenia, telefon i adres email, który powinien składać się z imienia i nazwiska (np. justyna.soltys@email.pl). Pracodawca na pewno nie potraktuje poważnie osoby, która używa adresu typu kotek25 czy sweet_kasia95. Całkowicie zbędne są informacje takie jak obywatelstwo, nazwisko panieńskie, stan cywilny czy miejsce urodzenia. Na tym samym poziomie, co dane osobowe, umieszcza się najczęściej zdjęcie.

Kolejną rubryką jest doświadczenie zawodowe i ewentualne praktyki zawodowe, jeśli doświadczenie jest niewielkie. Z lewej strony umieszczamy przedział czasowy, natomiast z prawej – zajmowane stanowisko, zakres obowiązków, osiągnięcia, dokładną nazwę i adres pracodawcy oraz stronę internetową (o ile taką posiada). Najwyżej umieszczamy oczywiście ostatnio zdobyte doświadczenia.

Następną sekcją jest wykształcenie, w którym uwzględniamy uczelnię, kierunek oraz – jeśli to konieczne – zakres realizowanych przedmiotów. Pomijamy szkołę podstawową, gimnazjum i szkołę średnią, chyba że jest to istotna informacja, np. ukończenie technikum gastronomicznego przy ubieganiu się o stanowisko kelnera.

Po wykształceniu jest miejsce na kursy i szkolenia, jeśli takowe odbyliśmy,

a następnie sekcja umiejętności: językowych, cyfrowych, komunikacyjnych, organizacyjnych oraz zawodowych, które najlepiej napisać w wyodrębnionych rubrykach. Na końcu umieszczamy nasze zainteresowania i klauzulę (może być dołączona również w stopce) zawierającą zgodę na przetwarzanie danych osobowych, która jest niezbędna podczas procesu rekrutacji.

Jest to oczywiście przykładowy, ogólny schemat przedstawienia informacji w CV. W Internecie można znaleźć bardzo dużo kreatorów życiorysu. Zazwyczaj są one płatne, lecz z drugiej strony, świetnie opracowane. Bardzo dobrą opcją jest dostosowany do norm europejskich szablon *curriculum vitae* wraz z instrukcją zarówno w języku polskim, jak i angielskim. Jest on w takim rozumieniu uniwersalny, że kwalifikacje i umiejętności są przedstawione w sposób jasny i zrozumiały w całej Europie. Tutaj podaję stronę: www.europass.cedefop.europa.eu/pl/documents/curriculum-vitae. Szczególnie rekomendują ten wzór Wojewódzkie Urzędy Pracy, sama również takim właśnie się posługuję.

GARŚĆ WARTOŚCIOWYCH RAD

Curriculum vitae ma być czytelne, estetyczne i poukładane. Na początku stwórz jedno, kompletne, uwzględniając całe dotychczasowe doświadczenie zawodowe oraz umiejętności, nawet jeśli miałyby zajmować 4 strony, gdyż CV musi być później modyfikowane i dopasowane pod konkretne ogłoszenie, zostawiając jedynie te informacje, które są istotne dla danej oferty. Wybierz zatem te, które pokrywają się z wymaganiami podanymi przez pracodawcę lub takie, dzięki którym zdobyłeś wartościowe czy niezbędne umiejętności do podjęcia pracy. Wszystko inne jest bezużyteczne z punktu widzenia pracodawcy i zajmuje cenne miejsce w CV, gdyż tutaj jak najbardziej sprawdza się reguła „mniej znaczy więcej”. Pokazujesz tym samym, że dokładnie zapoznałeś się z ogłoszeniem. Postaraj się wyłapać słowa klucze i wykorzystaj je w opisanu swoich umiejętności czy zakresu obowiązków. Trzeba

również zaznaczyć w dokumencie, o jaką posadę się ubiegasz.

Większość uwagi skupia się na górze dokumentu, dlatego w tym miejscu warto dodać podsumowanie zawodowe, które już na samym początku nakreśli pracodawcy twoją kandydaturę. Wystarczy nawet trzy-cztery zdania, które w zwięzły, czytelny sposób przedstawią twoje dotychczasowe doświadczenie. Musi być ono związane ze stanowiskiem, na które aplikujesz. W swojej wypowiedzi napisz, kim jesteś, opisz jedno lub dwa najważniejsze osiągnięcia zawodowe, zaznacz, gdzie chcesz pracować, jakie masz plany i jaki jest twój cel. Zazwyczaj pracodawcy mają średnio 6 sekund na przejrzenie jednego CV, podczas których patrzą jedynie na niektóre jego elementy. Jeśli podsumowanie zawodowe będzie krótkie, treściwe i – co najważniejsze – interesujące, zachęci pracodawcę do przeczytania dalszej części twojego CV. Ma to więc być swego rodzaju lid reklamujący ciebie samego.

Aby pokazać, że spełniasz oczekiwania pracodawcy, trzeba jak najlepiej opracować sekcję „umiejętności”. W ogłoszeniu zawsze podane są wymagania i ta sekcja to jest właśnie miejsce, by odnieść się do każdego z nich. Skuteczną metodą zaciekania rekrutera jest posługiwanie się faktami, datami i liczbami, czyli precyzyjnymi, szczegółowymi i jednoznacznymi informacjami podkreślającymi nasze atuty. Zwróć uwagę na kolejność podania poszczególnych wymagań – pierwsze jest najbardziej kluczowe, dlatego w swoim życiorysie najpierw odnieś się właśnie do tego. Postaraj się zmieścić każdą z umiejętności w jednej linijce – ma być zwięzłe i konkretnie. Jeśli nie ma napisanych zbyt wielu wymagań, a chcesz zabłysnąć – poszukaj takowych w innych ogłoszeniach na podobne stanowisko i wykorzystaj je do opisu swoich zdolności. Pomiń natomiast umiejętności miękkie (np. punktualność, kreatywność), gdyż po pierwsze, każdy może to wpisać, co zresztą wszyscy robią, po drugie, w ogóle nie zwiększa to twoich szans na zdobycie pracy i po trzecie – zajmuje cenne miejsce, które można by wykorzystać na

istotne i wartościowe informacje. Tak, usuwanie zbędnych informacji to chyba najtrudniejsza część pisania CV.

W oczach rekrutera najważniejsze są dwa ostatnie zajmowane stanowiska. Jednak jeśli doświadczenie zawodowe jest większe i związane bezpośrednio z ofertą – napisz o wszystkim, szczególnie nacisk kładąc na dwie pierwsze pozycje. Trzeba pamiętać, aby do określenia okresu zatrudnienia używać i roku, i miesiąca. Świetnym pomysłem jest dodanie sekcji „osiągnięcia” tuż pod zakresem obowiązków na danym stanowisku.

Dużo osób zastanawia się, czy umieszczać w CV pracę na czarno. W czerwcu uczestniczyłam w szkoleniu na temat wyjazdów do pracy za granicę, zorganizowanych przez Dolnośląski Wojewódzki Urząd Pracy, na którym był poruszony właśnie ten temat. Pani, która prowadziła zajęcia, powiedziała, że nie ma obowiązku przedstawiania nikomu umów czy świadectw pracy. Rekruter może po prostu skontaktować się z twoim byłym pracodawcą i zapytać, czy taka i taka osoba pracowała w danej firmie, jednak bez naszej zgody byłoby to wiele niesłusowne.

Jeśli znasz jakiś język w stopniu co najmniej komunikatywnym – nie zapomnij wpisać go do swojego CV, używając zarówno opisu słownego (podstawowy, komunikatywny, zaawansowany itp.), jak i oceny poziomu biegłości językowej (*Common European Framework of Reference for Languages*) – A1, A2, B1, B2, C1, C2. Omiń natomiast takie z nich, w których nie potrafiłbyś się dogadać. Unikajmy koloryzowania swoich umiejętności, ponieważ wszystko może być sprawdzone podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Ważną częścią naszego CV są zainteresowania, czyli sekcja przedstawiająca nas z nieco innej strony. Hobby może pokazać cechy, które nie pojawiły się nigdzie wcześniej w dokumencie. Szczególnie istotne są zainteresowania związane z branżą – pokazujesz tym samym, że praca byłaby również twoją pasją i czymś, co będzie cię uszczęśliwiać. Wszystkie upodobania muszą być ciekawie napisane i sprecyzowane, aby wniosły coś wartościowego do naszego CV – ogólnikowe stwierdzenia typu kino, książki, podróże zastąp przykładowo kinem polskim, fantastyką czy kulturą ludów dalekiego wschodu. Tego typu informacje mogą być jednym z tematów podczas rozmowy rekrutacyjnej, dlatego niczego nie koloryzuj, gdyż twoja niewiedza na zadeklarowany temat może cię zdyskwalifikować z listy potencjalnych pracowników. Jeśli chcesz zbudować dobre wrażenie, musisz

mieć wiedzę na temat swoich zainteresowań i pasji.

Aby podkreślić ważne informacje, możesz użyć pogrubienia czy innego koloru czcionki. *À propos* czcionki – czy wiesz, że niektóre z nich nadają się idealnie do czytania na komputerze, zwiększając tym samym czytelność i dobry wygląd dokumentu? Do takich czcionek należy np. Arial, Calibri czy Verdana. Unikaj za to tych dziwnych i mało znanych. Najlepszym rozmiarem czcionki do CV będzie taki pomiędzy 10 a 12, w zależności od ilości tekstu (ma po prostu dobrze wyglądać).

Co do zdjęcia w CV: jest ono powszechne w większości europejskich rekrutacji (wyjątek stanowi Wielka Brytania, a spoza naszego kontynentu – np. Australia czy Stany Zjednoczone), chociaż nie jest obowiązkowym jego elementem. Jednak dobrze dobrane zdjęcie może wpłynąć na decyzję o zaproszeniu na rozmowę rekrutacyjną. Jest to swoiste pierwsze wrażenie, jakie tworzysz swoim zdjęciowym wizerunkiem, mimiką twarzy, strojem i emocjami, jakie przekazujesz. Niewątpliwie jest to coś, na co warto zwrócić uwagę, gdyż może zwiększyć twoje szanse na dobrą pracę. Najlepiej dopasować zdjęcie do standardów i powagi stanowiska, na które aplikujesz. Trzeba również zadbać o dobrą jakość fotografii i wyraźnie widoczną na nim twarz. Można poprosić kogoś o zrobienie nam fajnego zdjęcia na jasnym (najlepiej białym) tle. Całkowicie odpadają wizerunki sprzed lat. Jeśli chodzi o kwestię ubioru, nie obowiązuje jedynie czerń i biel, gdyż ma on nie tylko nadać ci bardziej poważnego, profesjonalnego wyrazu, ale również podkreślić twoją osobowość. Kolor zielony wzbudza zaufanie, pomarańczowy symbolizuje wiedzę, natomiast niebieski oznacza umiejętność dobrej organizacji i rozsądek. Najważniejsze jest jednak to, aby do zdjęcia uśmiechnąć się i wyglądać naturalnie.

Jeśli CV nie podkreśli twoich zalet i atutów w odpowiedni sposób i w odpowiednim miejscu, będziesz postrzegany jako przeciętny kandydat, nie znający swoich dobrych stron i nie będący pewnym swoich umiejętności. Nawet świetne kwalifikacje zawodowe nie zastąpią właściwej prezencji, dzięki której niektórzy potrafią dostać pracę, nie mając zbyt dużego doświadczenia zawodowego.

TWOJE PIERWSZE CV

Jeśli nie masz jeszcze odpowiedniego doświadczenia do danego stanowiska lub jeśli ma to być twoja pierwsza praca, najlepiej skup się na odbytych

szkoleniach, osiągnięciach, certyfikatach, wolontariacie, praktykach, stażu, działalności studenckiej i wszystkim tym, co pokazałoby cię z jak najlepszej strony, nawet pomimo braku kwalifikacji. Najlepiej jeśli CV będzie zajmowało tylko jedną stronę. Umiejętności, znajomość języków czy programów komputerowych są w tym przypadku bardzo ważne. Jeżeli działasz w kołach naukowych lub organizacjach studenckich, dobrym pomysłem będzie dodanie sekcji „działalność akademicka/studencka”. Aby zwiększyć swoje szanse na wymarzoną pracę, warto dodać referencje np. profesora, które będą zawierały informacje na temat waszej współpracy.

WIADOMOŚĆ DO PRACODAWCY

Wiesz już, jak napisać dobre CV, ale czy wiesz, w jakim formacie je zapisać, na jaki adres je wysłać, jak zatytułować maila i co wpisać w treści wiadomości, żeby zwiększyć swoje szanse na wymarzoną pracę?

Warto zacząć od formatu dokumentu. Najbardziej profesjonalny jest .pdf, który zapobiega wszelkim zmianom i deformacjom pliku. Format .doc może wyświetlać się inaczej w zależności od wersji programu, co może czasem niezbyt korzystnie wpłynąć na twoje CV, na przykład usunąć zdjęcie czy numer telefonu, czego oczywiście nie chcesz. Plik nie powinien również zajmować więcej niż 500kb.

A co z nazwą? Najbardziej uniwersalnym, a zarazem profesjonalnym sposobem jest podanie w nazwie imienia, nazwiska oraz firmy, do której składamy CV (przykładowo: Justyna_Sołtys_CV_Firma). Kiedy wysyłasz je do więcej niż jednego miejsca, nie zapomnij zmienić nazwy firmy w pliku!

W treści maila nie wystarczy napisać „W odpowiedzi na ofertę pracy przesyłam swoje CV” (nawiasem mówiąc – jest to bardzo oklepane stwierdzenie, nawet lekka modyfikacja wpłynie bardzo pozytywnie). Warto dodać krótką motywację (np. „Chciałabym kontynuować swój rozwój zawodowy w Państwa firmie, ponieważ uwielbiam przekazywać wiedzę i inspirować innych światem nauki”) oraz powód, dla którego to właśnie ty powinieneś otrzymać zaproszenie na rozmowę rekrutacyjną (np. „Mam kilkumiesięczne, poparte wieloma sukcesami, doświadczenie w pracy na stanowisku...”). Jeśli chcesz wiedzieć, czy wiadomość dotarła do pracodawcy i czy plik z CV został pobrany, możesz skorzystać z darmowej aplikacji Yesware. W tytule maila można natomiast dodać

istotną, wyróżniającą cię z grona innych kandydatów informację dotyczącą np. znaczącego doświadczenia. Przed wysłaniem upewnij się, że dołączyłeś (właściwie!) CV.

Kolejną istotną kwestią jest adres, na który wysyłasz CV. Jeśli naprawdę zależy ci na posadzie, nie korzystaj tylko z tego, który jest podany w ofercie. Postaraj się ustalić, kto dokładnie zajmuje się rekrutacją w danej firmie, np. poprzez stronę internetową, profile na LinkedIn czy Goldenline, na których takie właśnie osoby umieszczają ogłoszenia. Jeśli jest podany bezpośredni e-mail, wyślij

po prostu spersonalizowaną wiadomość. Jeśli nie, poszukaj adresu mailowego innego pracownika firmy i w miejsce imienia i nazwiska wpisz dane rekrutera.

Przed wysłaniem CV zobacz, co można znaleźć na twój temat w sieci i czy ewentualne publiczne dane pokrywają się z tym, co napisałeś w dokumencie lub czy nie działają na twoją niekorzyść (np. posty i zdjęcia publikowane na Facebooku).

NA ZAKOŃCZENIE

To, czy twoje CV przejdzie do dalszego etapu rekrutacji, zależy w bardzo dużym stopniu od sposobu zaprezentowania się

w *curriculum vitae*. Jak to mówią – diabeł tkwi w szczegółach. Składają się one na całokształt, warto więc poświęcić nawet kilka dni na dokładne opracowanie swojego życiorysu, aby dać sobie samemu szansę na wymarzoną pracę. W następnym numerze napiszę, jak stworzyć dobry list motywacyjny, czyli jak otrzymać swoistą przepustkę do wyczekiwanej rozmowy rekrutacyjnej!

Mam nadzieję, że dzięki tym prostym wskazówkom wszystkim czytelnikom Żaka uda się podbić świat! ■

Justyna Sołtys

„GDYBYM MIAŁ WYBIERAĆ PONOWNIE, ZROBIŁBYM TO SAMO” WYWIAD Z JERZYM PIETRASZKĄ

Jeden z najsłynniejszych prowadzących na PWr. Kto nie miał z nim zajęć – ten na pewno przynajmniej o nim słyszał w opowieściach i legendach. Mało kto jednak wie, że Jerzy Pietraszko, bo o nim mowa, ma niezwykle ciekawą biografię – biografię opozycjonisty, działającego wiele lat w Solidarności Walczącej. O tym właśnie z nim rozmawialiśmy; zwłaszcza że w tym roku przypada 35. rocznica wprowadzenia stanu wojennego.

Aleksander Spyra: Przygotowując się do tej rozmowy, znalazłem informację, że wydał Pan książkę ze wspomnieniami; nie udało mi się jednak jej dostać.

Jerzy Pietraszko: Książkę wydałem w 2007 roku, kiedy była ku temu okazja. Kornel Morawiecki, szef Solidarności Walczącej, spytał mnie wtedy, czy pomogę przy organizacji obchodów 25-lecia powstania organizacji. Odpowiedź musiała być twierdząca, ale gdy wróciłem do domu i pomyślałem sobie: „w co ja się pakuję? To przecież załatwianie sponsorów, sal i innych rzeczy, na których się nie znam”. Musiałem więc wymyślić sposób pomocy dostosowany do mnie – a że doświadczenie już miałem w pisaniu, bo wcześniej napisałem podręcznik, to stanęło ostatecznie na napisaniu książki.

Z całego nakładu 1000 egzemplarzy mniej więcej 700 rozdaliśmy członkom Solidarności Walczącej, a dodruku zrobić się nie udało. Aktualnie, ponieważ zbliża się kolejna okrągła rocznica, myślimy o drugim wydaniu – zwłaszcza, że obecnie zainteresowanie młodych ludzi historią jest większe. Trzeba pamiętać, że przez wiele lat było coś w rodzaju zapisu cenzorskiego na nasz temat – nic nie mogło się ukazać; pierwsze naukowe opracowanie powstało chyba dopiero w 2001 roku.

Może przejdę do samej historii Pana zaangażowania. Jeżeli wierzyć internetowej *Encyklopedii Solidarności*, to jako 14-letni chłopiec uczestniczył Pan w manifestacjach w 68 roku. Czy to prawda?

Co do internetowej wersji *Encyklopedii Solidarności* – jest ona gorzej niż zła. Tworzyli ją bardzo zaangażowani ludzie, nieraz młodzi, nie tylko historycy. W efekcie znalazło się w niej sporo własnej twórczości autorów, często niezgodnej – wskutek braku wystarczającej wiedzy czy bardzo konkretnych doświadczeń – z faktami lub ich wagą. Jeden z moich kolegów ma tam na przykład wpisane, że w wieku siedmiu lat rzucał z dachu kamieniami w auto ubeka (*śmiech*). Wersja papierowa jest w porządku, przechodzi przez autoryzację i poprawki.

Oдноśnie 1968 roku – rzeczywiście, byłem wtedy na Placu Grunwaldzkim. Miałem troszkę ponad 13 lat, mieszkalem na Sępólnie i żadnemu kilkunastoletniemu chłopakowi stamtąd nie wypadało nie wziąć udziału. Pamiętam, jak jechaliśmy tramwajem i umawialiśmy się, że jak nas złapią, to jeden będzie chuliganem, a drugi syjonistą... (*śmiech*). Inna rzecz, czy można nazwać to świadomym udziałem. U mnie może był nieco bardziej świadomy niż u większości, bo mój ojciec razem ze studentami zamknął się wtedy na terenie

uniwersytetu, więc z domu wiedziałem trochę więcej.

W takim razie kiedy zaczął Pan świadomie działać w opozycji?

Można powiedzieć, że samo pójście na matematykę na Uniwersytecie od razu mnie ustawiło. Podczas samych studiów, w latach 1973-78, konkretnych działań raczej nie było, natomiast znalazłem się na ciekawym roku. Sekcję teoretyczną na matematyce ukończyło kilkanaście osób. Okazało się, że pierwszym spotkaniem po latach mojego roku było 20-lecie Solidarności Walczącej, ponieważ z tych niespełna 20 osób ponad połowa działała.

Trudno mi jednoznacznie powiedzieć, kiedy zacząłem działać, ale chyba to był rok 1979, kiedy Kornel przejął prowadzenie „Biuletynu Dolnośląskiego”, czyli pierwszego stałego pisma podziemia. Do stałem wtedy pierwszą paczkę do rozproszania, chyba nawet bezpośrednio od Olka Gleichgewichta, obecnie szefa gminy żydowskiej, jednego ze współtwórców SKS-u Wrocław. Można powiedzieć, że w sporym stopniu to on wciągnął mnie w to środowisko. Choć nie tylko, był również Piotr Adamcio, pseudonim Pablo, autentycznie wieloletni student matematyki, który studiował kilkanaście lat; powstał nawet komitet przepchnięcia Pabla na trzeci rok. Merytorycznie był świetny, ale jeśli coś go nie interesowało, to po prostu nie przychodził na zajęcia

i egzaminy. Byli i inni, na ogół koledzy ze studiów. W każdym razie on i Olek wciąż nęli mnie do grona korzystających z Latającego Uniwersytetu.

Nie byłbym sobą, gdybym nie zadał tego pytania. Dlaczego zdecydował się Pan na działalność opozycyjną?

Pytanie dość naturalne, gorzej z odpowiedzią. Nie miałem żadnych dylematów, po prostu wiedziałem, że tak trzeba.

Nieco to rozwinę. Przed napisaniem książki udostępniono mi ankiety członków Solidarności Walczącej, wypełniane przed 25. rocznicą. Było tam między innymi pytanie o przyczynę wejścia do SW. Mój bezpośredni szef z Solidarności Walczącej dał bardzo krótką odpowiedź, z którą się całkowicie zgadzam. Napisał: „bo było trzeba”.

Oprócz tego można powiedzieć, że wychowany byłem w duchu szukania prawdy, a nie swego miejsca w świecie realnego socjalizmu. To, plus atmosfera roku na studiach.

Kiedy zaczął Pan pracę na Politechnice Wrocławskiej?

Pracowałem w latach 1979-81, z tym że na zleceniu, w dodatku w Instytucie Cybernetyki Technicznej Wydziału Elektroniki. Prowadziłem dla doktorantów i pracowników instytutu oryginalny wykład, metody topologii algebraicznej i różniczkowej w teorii systemów. Doktoranci przyszli na pierwszy wykład, ogłosiłem jakie będą wymagania, a część po przerwie już nie wróciła na salę; większość stanowili więc pracownicy. Później współprowadziłem seminarium z prof. Tchoniem, o podobnej tematyce, ale to wszystko zakończyło się 13 grudnia 1981 – po prostu dostałem zakaz wstępu na uczelnię. Sytuacja była taka, że dostaję ten zakaz i w tym momencie wybór należy do władzy – nie będę przecież się nudził, muszę coś robić, a skoro władza nie pozwala mi wchodzić na uczelnię, to w takim razie trzeba bawić się w walkę z władzą. W ten sposób sami spowodowali, że niejako przeszedłem na zawodowość (*śmiech*).

Już jakiś czas temu znalazłem informację, że na PWr był strajk studencki przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Uczestniczył Pan w nim?

Nie. Prawdę mówiąc, ten okres 1980-81 nie do końca mi się podobał. Z całkowicie spontanicznym tworzeniem się „Solidarności” to trochę bajeczka, już pod koniec marca miałem informacje treści „nie szykuj wakacji, będzie ciekawie”, więc to raczej był szykowany scenariusz, który później wyrwał się wszystkim stronom spod kontroli. Ja wówczas nadal roznosiłem „Biuletyn Dolnośląski”, pracowałem na

zlecenie – jak dzisiaj byśmy powiedzieli, na umowie śmieciowej – więc przydałby się etat. Zaproponowano mi, żebym pracował w „Solidarności” – odmówiłem nawet zapisania się do związku. Widziałem wtedy choćby biegającego po pokojach na Mazowieckiej [ówczesna siedziba „Solidarności” – red.] ubeka z Biskupina – cała masa takich „nawróconych” się pojawiła, którzy po 13 grudnia nawrócili się ponownie. Nie miałem ochoty współpracować z takimi ludźmi.

Może opowiem, dlaczego te strajki studentów nie do końca mi się podobały. Ponieważ trochę już byłem zaangażowany. Zostałem zaproszony jako gość na Akademię Rolniczą. Na politechnikę, ponieważ byłem pracownikiem tylko zleconym, miałbym problemy, żeby wejść. Na rolniczej rzuciłem tylko do osób pilnujących bramy, że idę do Karola – był on zastępcą szefa komitetu strajkowego – nawet nie pytano, jakiego Karola, i mnie wpuszczono. Wtedy na rolniczej komitet strajkowy powołał Wolny Uniwersytet Rolny. Chcieli przejąć władzę na uczelni – co było bez sensu. Ogłaszając to, widzę tego Karola, który był wtedy po raz czwarty albo piąty studentem pierwszego roku, a który teraz wg ich nomenklatury jest prorektorem. Tak patrzę na to wszystko i pytam, czy na sali jest jakiś student, który nigdy nie powtarzał roku. Był jeden: lekarz z piątego roku Akademii Medycznej, zaproszony, żeby być lekarzem przy strajku. Absolutnie im to jednak nie przeszkadzało mówić, że władza będzie w rękach studenckich.

Ciekawostką jest fakt, że mówili wtedy, że „student będzie wybierał pracownika”. Teraz to jest naturalna kolej rzeczy. Wtedy zadałem pytanie: w takim razie kogo wybierze, czy tego, który nauczy, czy tego, który da zaliczenie? Odpowiedziano mi, że „jeśli będzie chciał pracować, to będzie musiał dać zaliczenie”. Czy w takim razie takie studia byłyby coś warte?

Przy okazji też spytałem, czy według nich pracownik uczelni będzie podmiotem czy przedmiotem – niestety komitet strajkowy nie był w stanie zrozumieć pytania. Prawie identycznie wyglądało dzień wcześniej spotkanie z Andrzejem Zarachem, matematykiem, obecnie profesorem w Stanach Zjednoczonych. Zarach przyszedł i rzucił pytanie strajkującym: „Dlaczego strajkujecie?”. Ci nie potrafili odpowiedzieć i zaczęli gwizdać.

Co pan czuł 13 grudnia 1981 roku?

Byłem wtedy u kolegi, który prowadził schronisko nad Łomniczką. Odczucia miałem tylko jedno – natychmiast jechać do Wrocławia, bo czas działać. Nie czułem zaskoczenia, nie czułem żadnego

smutku, rozpaczy, tylko nakaz, imperatyw, że przyszedł czas. Może było to spowodowane faktem, że w środowisku Kornela Morawieckiego wszyscy liczyli się z takim rozwojem sytuacji.

Dojechałem do Wrocławia, skontaktowałem się po przyjeździe z kolegą, który prowadził konserwację maszyn drukarskich, wcześniej zabezpieczonych, i dowiedziałem się, że już powstaje pierwszy numer „Z dnia na dzień”.

Ów kolega, Staszek Mittek, złapał już kontakty, więc współpracowałem z nim, robiąc to, co tylko mogłem zrobić dobrze – obaj od początku stawialiśmy na jakość naszych działań. Niestety, w pierwszych miesiącach to było głównie czekanie. Choć oczywiście nie tylko. Około dwa miesiące po wprowadzeniu stanu wojennego, pojechaliśmy na przykład takśówką do Olsztyna po powielacz. Przed miastami rogatki, na szosach patrole. Do tego wtedy trzeba było się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Prowadzący strajk w Wyższej Szkole Morskiej dostali po dziesięć lat więzienia. Dopiero później zorientowaliśmy się, że za większą część działań dostaje się wyroki „do najbliższej amnestii” i przy większym trzeba mieć pecha.

Kontakt ze Staszkiem – ps. Gad, potem Student, a po szczególnie udanej akcji przyznał on sobie doktorat, zmieniając pseudo na Doktor – złapali i inni, czasem nie bez mojego udziału. I tak utworzyła się bardzo konkretna grupa przez niego dowodzona. A ja się w niej ustawiłem jako jego doradca i pendrive – wykorzystałem to, że telefonów ani adresów nie zapisywałem tylko je zapamiętywałem. To oczywiście nie było jedyne, każdy działał wielotorowo, ale podstawowe.

Później oczywiście była Solidarność Walcząca.

Tak, automatycznie przeszedłem do Solidarności Walczącej. Sama „Solidarność” działała... dziwnie.

Właściwie w dużym stopniu twórcą Solidarności Walczącej był kardynał Henryk Gulbinowicz [ówczesny metropolita wrocławski – red.], który jednak wolałby nie być wymieniany w takim kontekście. Zażądał on, aby skończyły się wymarsze z mszy w katedrze 13. każdego miesiąca; nie chciał żadnych manifestacji. W dodatku 80 milionów, wypłacone z konta „Solidarności” zaraz przed stanem wojennym, miało iść na cele działań opozycji – np. na radio i poligrafię, które zostały zdeponowane u kardynała Gulbinowicza – zostało przez niego niemal całkiem zamrożone. Odmawiał przekazywania ich na konkretne cele podziemia. W swej postawie dostał poparcie niektórych

ludzi związanych z RKS-em [Regionalnym Komitetem Strajkowym „Solidarności” – red.], przez co doszło do powstania Solidarności Walczącej. Złożyłem do niej akces na drugi dzień po powstaniu.

To przejście bardzo pomogło w działalności. Wcześniej mój szef angażował się w radio, nawet była mowa o próbach telewizji, więc działalność polegała na szukaniu części, wykorzystaniu kontaktów z Instytutu Cybernetyki Technicznej, ale to wszystko było luźne. Kiedy powstała Solidarność Walcząca, to ta grupa się uporządkowała.

W tym czasie prawie wszystkie drukarnie wrocławskie dostały pytanie: z kim chcecie pracować? Wszystkie odpowiedziały, że chcą drukować SW. Nawet doszło w 1983 roku przez jakiś czas do sytuacji, że RKS, czyli ten główny nurt „Solidarności”, nie dysponował ani jedną czynną drukarnią. Trzeba zaznaczyć, że każdy członek SW musiał umieć drukować. Mnie próbowały nawet dwie osoby nauczyć, lecz im się nie udało; po prostu się nie nadawałem. Moje działania były,

jak na SW, o tyle oryginalne, że nie byłem drukarzem, co się rzadko zdarzało.

Jeszcze jedno pytanie. Wrócił Pan na uczelnię dopiero w 1993 r. Na ile była to kwestia wyboru, a na ile okoliczności? Chciał Pan, a nie mógł wcześniej?

Do 1987 roku byłem bardzo aktywny w Solidarności Walczącej. Potem mój szef postanowił dać sobie trochę więcej wolnego, a ja miałem zmienić szefa na szefową, więc także trochę odpuściłem.

W 1989 roku dostałem pracę w szkole na rok w ramach zastępstwa. Dowiedziałem się, że w ten sposób mogę być zatrudniony, a na etat nadal nie. Paszportu wciąż nie miałem, wniosek składałem chyba razem z pismem o możliwość pracy z młodzieżą, jesienią 1989, czyli już po okrągłym stole. Dostałem odmowę z uzasadnieniem, że sytuacja w Polsce nie zmieniła się na tyle, żeby dekret o stanie wojennym przestał obowiązywać do końca. Służba Bezpieczeństwa ściagała Solidarność Walcząca jeszcze w 1990 roku, aż doszło do kuriozalnej

sytuacji, kiedy szef SB odmówił wykonania rządowego rozkazu o dalszym ściganiu – w ten sposób z końcem kwietnia 1990 roku przestano ścigać ludzi z SW. W 1991 roku nastąpiło odblokowanie, dostałem pierwszy paszport i możliwość powrotu na Politechnikę. I tak zacząłem pracę od lutego 1993, już w Instytucie Matematyki. Tu jeszcze dodam, że gdybym działał w nurcie podstawowej „Solidarności”, a nie SW, zapewne bazowe restrykcje wobec mnie zniknęłyby kilka lat wcześniej. Od połowy lat 80. władza nastawiła się przede wszystkim na walkę z SW, PPN, LDPN oraz młodzieżowym FMW. ■

Jerzy Pietraszko – matematyk, działacz opozycji w okresie PRL, członek Solidarności Walczącej, wykładowca na Wydziale Matematyki Politechniki Wrocławskiej. Nadal angażuje się w działalność społeczną, m.in. poprzez inicjatywę Wszechnica Akademicka „Przewrót”.

CO Z TĄ ULGĄ?

Wiosną przez media, zarówno tradycyjne, jak i społecznościowe, przetoczyła się fala informacji, że „rząd od nowego roku likwiduje ulgi studenckie na autobusy i pociągi”. Choć takie stwierdzenie na łamach gazety może trącić hipokryzją, dziennikarze przeinaczyli wówczas fakty. O co więc właściwie chodzi i ile zapłacimy za bilet od nowego roku?

Pisaliśmy już, jak wygląda rynek transportu zbiorowego; obecnie można go opisać jako wolną amerykanke (*No, synku, przyjeżdż do domu na weekend*, „Żak” nr 8/2015). Wiedza o tym jest powszechna, także wśród przedstawicieli władzy. W 2010 roku uchwalono *Ustawę o publicznym transporcie zbiorowym*, która – w intencji ustawodawcy – ma ucywilizować komunikację, zwłaszcza autobusową. Aby przygotować samorządy i przedsiębiorstwa do nowych rozwiązań, wobec niektórych jej przepisów wprowadzono wyjątkowo długie *vacatio legis*, ustalając początek obowiązywania na 1 stycznia 2017 roku.

Celem ustawy było zmuszenie samorządów do przyjęcia roli organizatora komunikacji zbiorowej, zwłaszcza autobusowej; w przypadku kolei organizatorem są już województwa oraz Ministerstwo Infrastruktury i Budownictwa. Trzeba więc pamiętać, że większość pociągów (osobowe, IC czy TLK) jeździ na podstawie odpowiednich umów. Organizator ma ustalić trasy, na których świadczone będą publiczne przewozy, i wyłonić

(najczęściej poprzez przetarg) firmę, która będzie je realizować. Wybrane przedsiębiorstwo zwane będzie operatorem. I tutaj pojawia się kwestia przejazdów ze studencką zniżką.

W tej chwili każdy przewoźnik, który zwróci się o rekompensatę z tytułu udzielania klientom ulg ustawowych, może ją otrzymać z budżetu państwa. W nowym systemie o takie wsparcie będą się mogli ubiegać się wyłącznie operatorzy. Ot i cała różnica; samych ulg nikt nie zmieniał.

Jeśli się jednak przyjrzeć temu rozwiązaniu, pojawiają się pewne wątpliwości. Na kolei to kwestia np. połączenia z Łodzi do Warszawy – na tej linii część pociągów PKP Intercity jest uruchamiana na podstawie umowy z Ministerstwem, część na zasadach komercyjnych; trudno sobie wyobrazić sytuację, że na jeden pociąg obowiązuje ulga, a na kolejny, tej samej kategorii i spółki – już nie. W połączeniach autobusowych (czy też busowych) nadchodzące rozwiązania są iście rewolucyjne, bo są pierwszą próbą uregulowania tego segmentu rynku. Nie wierzę

jednak, aby ta ustawa wprowadziła w Polsce model taki, że pasażer wsiada na wsi do autobusu, nie dbając wcale o to, jakiej jest on firmy, bo to po prostu przewozy powiatowe z jednolitą numeracją linii i jednolitym cennikiem.

Jak już wspomniano, w kwietniu media, w tonie katastroficznym, podchwyciły wyrwany z kontekstu temat samych ulg. Reakcja była natychmiastowa: w lipcu przegłosowano senacki projekt nowelizacji ustawy, która przesuwa wejście w życie kontrowersyjnych zapisów na 1 stycznia 2018 roku.

Nie wiadomo jednak, czy w najbliższym czasie nie dojdzie do większych zmian w prawie. Podczas dyskusji nad nowelizacją wiceminister Jerzy Szmit wspominał o takiej możliwości. Będziemy o sprawie informować w kolejnych numerach.

A odpowiadając na pytanie zawarte w lidzie: zapewne tyle samo. Wciąż będzie można z dumą poprosić w kasie o „studencki do”. ■

Aleksander Spyra

AUTOSTOPEM PO MARZENIA

PÓŁROCZNA PODRÓŻ PO AZJI CZ.1

Ola Studzińska – studentka weterynarii na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu – zawsze marzyła o tym, by podróżować po świecie. Kiedy jednak zobaczyła, ile to kosztuje, postanowiła znaleźć jakąś alternatywę, dzięki której można zaoszczędzić chociażby na transporcie. Kierując się pozytywnymi wspomnieniami z jazdy autostopem w Polsce, postanowiła wykorzystać ten sposób, by udać się w podróż po Europie, a później po Azji.

Wszystko zaczęło się od częstego niedopasowania oferty komunikacyjnej do potrzeb podróżujących. Działo się tak niezależnie od tego, czy się było nad polskimi jeziorami, czy nad Bałtykiem. Aby nie czekać kilku godzin na pociąg lub nie dreptać kilkunastu kilometrów na najbliższą stację kolejową, nasza bohaterka wraz z kolegami łapała stopa.

– W Polsce bardzo fajnie się jeździło autostopem – przyznaje Ola. – Ludzie chętnie się zatrzymywali i często mówili, że mamy szczęście, bo nigdy nikogo nie zabierali, ale dziś zrobią wyjątek. Jechaliśmy kiedyś z kolegą przebrane za hippiski... – śmieje się. – Przesiadaliśmy się z auta do auta, nie było z tym żadnego problemu, a ludziom bardzo podobał się nasz styl.

W dalsze podróże studentka weterynarii udała się dopiero wtedy, gdy poznała Janek Kierwiaka – wesołego

idealistę przepełnionego podróżniczą pasją – i to właśnie z nim postanowiła podbić Eurazję. Ich ścieżki spotkały się po raz pierwszy w Dusznikach Zdroju podczas spędu podróżniczego. Odtąd młodzi odkrywcy postanowili połączyć swój los i wspólnie podbijać świat. Kiedy zwiedzili już większą część Europy, zdecydowali się udać do Azji. Rok temu Oli powinęła się noga na studiach, przez co miała cały semestr przerwy. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały więc, że nadszedł czas na najdłuższą podróż.

OKAZJA CZYNI PODRÓŻNIKA

Nasi podróżnicy wykorzystywali każdą

dłuższą przerwę na studiach (na przykład majówkę, Sylwester czy święta, nie wspominając już o wakacjach), aby wyruszyć w kolejną podróż.

Na majówkę na przykład pojechali do Budapesztu, ale tym razem nie autostopem, lecz Polskim Busem, ponieważ nadarzyła się okazja zakupu biletów za jedyne 28 zł. Jak tu nie skorzystać z takiej promocji? Stamtąd udali się autostopem do Rumunii. Wystraszeni cenami postanowili dostać się na Ukrainę. I była to bardzo dobra decyzja, bo – po pierwsze – było tam o wiele taniej, a po drugie – załapali

najszybciej dotrzeć do celu (przynajmniej jeszcze w starym roku).

– Noc noworoczną spędziliśmy w Istanbule, potem pojechaliśmy do Izmiru, nie mam pojęcia, kiedy my spaliśmy – wspomina Ola. – Do domu wracaliśmy dłużej, bo aż cztery dni. Wyruszyliśmy spod granicy tureckiej i autostopem udało nam się dotrzeć do granicy polsko-słowackiej. Jechaliśmy wtedy tirem z pewnym Turkiem, który w ogóle nie mówił po angielsku. Ja rozmawiałam z nim jakoś na migi, natomiast Janek porozumiewał się z nim rysując na kartce.



FOT. MAPA OLI. MIEJSCA NIEZACIENIONE STANOWIĄ CELE JEJ PRZYSZŁYCH PODRÓŻY

Ola wspomniała, że z każdą kolejną podróżą coraz rzadziej odczuwała barierę językową. Niewątpliwie dzięki tym wszystkim wyprawom, komunikacja niewerbalna jest u niej na wysokim poziomie i gdyby istniały mistrzostwa świata w kalamburach,

się na święta Wielkanocne, które na Ukrainie obchodzi się właśnie w maju. Córką właścicieli zajazdu, w którym podróżnicy wynajmowali pokój, była studentka polskiej uczelni, więc szybko odnaleźli z nią wspólny język. Dziewczyna zachęciła ich do wzięcia udziału w Liturgii Wielkiej Nocy w kościele prawosławnym, a następnie zaprosiła na rodzinne, świąteczne śniadanie. Choć celebrowanie trwało aż cztery godziny, czas zleciał im śpiewając (i to dosłownie).

Dwa lata temu Ola i Janek zaplanowali, że spędzą Sylwestra w Turcji. Podróż autostopem zajęła im zaledwie trzy dni, ale prawie w ogóle nie spali, gdyż chcieli jak

miałaby szansę zająć miejsce na podium. Nie bez powodu mówi się, że podróże kształcą.

Oprócz takich wypadów od święta, trafiła im się półroczna przerwa w edukacji Oli (szczęście w nieszczęściu), którą trzeba było jakoś wykorzystać, dlatego wyruszyli na pięciomiesięczną tułaczkę po Azji.

JAK SIĘ SPAKOWAĆ NA PIĘCIOMIESIĘCZNĄ WYPRAWĘ?

Wyruszając w prawie półroczną podróż po obcym kontynencie, trzeba pamiętać o wizach do krajów, które chcemy przemierzyć i o spakowaniu najważniejszych przedmiotów. Najpilniejszą dla naszych

włóczykiów, a zarazem najcięższą, rzeczą był namiot, bo uniezależniał ich od dostępności tanich hosteli. Aparat stanowił kolejny niezbędny przedmiot, bez którego podróż odbyć się nie mogła. Oczywiście równie ważne były dokumenty, by nie napytać sobie biedy, pieniądze, jakieś naczynia i odzież. Ile ubrań trzeba wziąć na pięć miesięcy? Odpowiedź jest zaskakująca.

– Z początku myślałam, że na taką wprawę trzeba zabrać zawrotne ilości ciuchów. Teraz to mi się wydaje śmieszne – wspomina Ola. – Po drodze wyrzucałam rzeczy, żeby mieć lżej. Z całej tej podróży wróciłam z trzema koszulkami, jedną parą spodni, krótkimi spodenkami, sukienką, polarem i kurtką przeciwdeszczową, któ-

AUTOSTOPEM GDZIE TYLKO SIĘ DA Ola i Janek podróżowali autostopem wszędzie tam, gdzie tylko to było możliwe. Nawet w Chinach, choć – jak się szybko okazało – taki sposób przemieszczania się nie jest tam znany. Chińczycy zatrzymywali się tylko dlatego, że byli zaintrygowani białymi ludźmi. Robili sobie z nimi zdjęcia, zapraszali do swoich domów i mieszkań, a czasem nawet płacili swoim gościom za hostele. Ola i Janek czuli się niczym celebryci.

– Gdybyśmy byli Azjatami, nikt by się nie zatrzymał, bo tamci ludzie nie wiedzą, co to jest autostop. Pomachałoby tylko i pojechali dalej – wyjaśnia Ola. – Ale kolor naszej skóry wzbudzał w Chińczykach

na powietrzny, aby dostać się aż do Indii.

W Indiach panują specyficzne przepisy drogowe – po ulicach grasują święte krowy, pierwszeństwo ma ten, kto wjedzie jako pierwszy na skrzyżowanie, a ręka kierowcy jest jednocześnie kierunkowskazem. Nasi podróżnicy nie korzystali tam z autostopu, lecz nie dlatego, że bali się wypadku; powód był zupełnie inny.

– W Indiach nie jeździliśmy raczej stopem, bo uznaliśmy, że ci ludzie i tak są biedni. Prosząc o darmową podwózkę, czułabym się jak najgorszy pasożyt, dlatego radziliśmy sobie tam w inny sposób – wyznaje Ola.

Na przykład z Goa do Kalkuty, stolicy Indii, nasi bohaterowie podróżowali sa-



FOT. ALEKSANDRA STUDZIŃSKA - WIELKI MUR CHIŃSKI

rej ani razu nie ubrałam, mimo że padało wielokrotnie. Nie ma sensu brać więcej niż trzy koszulki na taką podróż. I tak prędzej czy później musiałam wszystko wyprać, a im więcej zabierałam, tym cięższy miałam plecak.

Ola prała ubrania w każdej rzece czy górskim potoczku, czyli wszędzie, gdzie się dało i było czysto. Oczywiście jeśli nocowała w hostelu czy zajeździe, zazwyczaj miała możliwość skorzystania z pralki albo chociażby miski i bieżącej wody, ale w niektórych miejscach nie było to możliwe, dlatego musieli zdać się na zbiorniki wodne i modlić, by pogoda sprzyjała suszeniu prania.

ciekawość, dlatego czasami zatrzymywali się i proponowali podwózkę, a niekiedy zwalniali tylko po to, by się nam przyjrzeć, po czym jechali dalej. W Chinach łatwiej białemu człowiekowi się najeść i wypaść za darmo, niż za darmo podróżować...

Ola i Janek autostopem przemierzali Rosję, część Mongolii, Chiny, Laos, Tajlandię, aż dotarli do Malezji. W Mongolii poza autostopem postawili na transport kolejowy, ponieważ kurs pociągami przez prawie cały ten kraj kosztował zaledwie 16 zł. Po dotarciu autostopem do Kuala Lumpur (najdalejszego punktu, do którego dostali się autostopem – podróżnicy musieli zmienić sposób lokomocji z lądowego

molotem, a z Kalkuty do Varanasii dojechali pociągiem.

Jak zatem widać, inne środki transportu również wchodziły w grę. W planach na najbliższe większe podróże Ola wymienia Amerykę Południową, przy czym nie wyklucza rejsu jachtostopem, lecz zaznacza, że taki sposób podróży wymaga bardzo dużo czasu i cierpliwości.

W POSZUKIWANIU SNU

Tam, gdzie były dostępne hostele lub aura nie sprzyjała biwakowaniu – na przykład w lodowatym Tybecie – podróżnicy wynajmowali pokoje. Czasem udawało się znaleźć tak tanią stancję, że czuli się jak

bogacze. W Tybecie, gdzie spanie pod namiotem byłoby samobójstwem, nocleg kosztował ich w przeliczeniu na złotych 20 zł za osobę, a za obiad – 6 zł. We Lwowie wynajęli pokój sześciuosobowy w cenie dwójki, bo wszystkie były zajęte, a właścicielom bardziej opłacało się wynajmując go po niższej cenie, niż nie wynajmować wcale, zaś na rajskiej wyspie zapłacili 15 złotych za malowniczo położonego bungalowa. Najtańszy pokój znaleźli w Indiach za 11 zł za dwie osoby, co daje 5,50 zł na osobę. A co jeśli hostel okazuje się za drogi? Była sytuacja, w której najtańszy pokój znajdował się... na dachu budynku.

– W Mongolii mają takie duże, okrągłe namioty zwane jurtami. W samym centrum Uan Bator spaliśmy w takiej jurtcie na dachu budynku, bo to były najtańsze noclegi w stolicy Mongolii – wspomina studentka.

A co gdy w pobliżu nie ma żadnego hostelu, a organizm domaga się snu? Po coś się w końcu nosi domek na plecach. Ola i Janek przez całą Rosję spali w namiocie, ponieważ ceny za wynajem pokoju były tam zbyt wysokie.

– Mieliliśmy taki układ, że ja się zajmuję praniem, a Janek ogniskiem. Jak przychodziła pora na ognisko, to układałam sobie wszystko w namiocie, żeby było wygodnie spać.

Nasi bohaterowie spali pod namiotem również w Mongolii, a w Chinach ostatnią noc spędzili na Wielkim Murze Chińskim. Oczywiście rozbili się w tej nieturystycznej części, gdzie nie było strażników, dlatego nikt ich stamtąd nie wygonił.

– Prawdopodobnie było to trochę nielegalne... – uśmiecha się Ola.

KARAOKE NA KOMISARIACIE MONGOLSKIEJ POLICJI

Takie podróże wiążą się z pewnym ryzykiem. W obcym kraju wszystko się może zdarzyć, zwłaszcza wtedy, gdy jeździ się autostopem, który z pewnością nie należy do najbezpieczniejszych sposobów podróżowania. Bohaterowie tego artykułu twierdzą jednak inaczej, gdyż jedna z mniej przyjemnych przygód zdarzyła się w pozornie bezpiecznym środku lokomocji, a mianowicie w pociągu. Wydawać by się mogło, że jest to ostatnie miejsce, gdzie może stać się coś złego; dzieci biegały bez troski po korytarzu, a ludzie przysiadali się do siebie, by wspólnie pograć w karty, mimo że się nie znali... Kto mógł przewidzieć, że kolej przemierzająca Mongolię zawiezie ich pod same wrota komisariatu?

To wszystko dlatego, że studentka weterynarii została okradziona. Wystarczyła chwila nieuwagi, a ukochany aparat Oli zniknął bez śladu. Podróżnicy wybiegli

z pociągu, szukając złodziejzka, ale nikt nie widział. Nieopodal był wspomniany komisariat policji, więc stwierdzili, że nie zaszkodzi zgłosić tej kradzieży, a nuż uda im się odzyskać aparat. Policjanci oczywiście nie mówili ani po angielsku, ani po rosyjsku, dlatego Janek poszedł z nimi na dworzec, by poszukać kogokolwiek, kto mówiłby w jednym ze znanych im języków i byłby w stanie przetłumaczyć mongolskim policjantom, co się stało. Znalazł kobietę mówiącą w języku rosyjskim, która przetłumaczyła funkcjonariuszom, jaki problem spotkał młodych podróżników. W tym samym czasie bliska łez Ola siedziała na komisariacie. Przez uchylone drzwi widziała grupkę policjantów siedzących przed laptopem, kołyszących się w rytm muzyki i z wielkim zapalem śpiewających *Wrecking Ball* Miley Cyrus, której tekst wyświetlał się na ekranie.

– Było mi smutno, że padłam ofiarą kradzieży, a policja nic nie robi, tylko sobie karaoke urządza o szóstej rano. Teraz się z tego śmieję, ale wtedy byłam naprawdę załamana – wspomina studentka.

Kiedy Janek wrócił z policjantami, musieli zrobić sobie spacer po mieście do kolejnego komisariatu, w którym wszyscy jeszcze spali. Po obudzeniu funkcjonariuszy okazało się, że ci również nie mówią w żadnym ze znanych im języków. Na szczęście śpiochy w mundurach postanowiły pomóc poszkodowanym podróżnikom i zadzwonili do tłumacza.

– Jeden z policjantów zadzwonił do kogoś i przekazał telefon Jankowi. Przysłuchując się tej rozmowie zrozumiałam tylko tyle, że musimy pokazać jakiś dowód, że ten aparat należał do mnie. Najlepiej zdjęcie... Myślałam, że nie wytrzymam – straciliśmy przecież aparat! Kto nosi zdjęcie własnego aparatu?! Na szczęście mieliśmy na telefonie zdjęcie zdjęcia, jak robię fotkę swoim aparatem. I zrobione telefonem policjantów zdjęcie zdjęcia aparatu, którym ja robię zdjęcie, było dowodem w sprawie – śmieje się Ola.

– Powiedzieli nam, że szanse są marne, ale cała ta historia z tym karaoke, wycieczkami po komisariatach i robieniu dowodów w sprawie tak poprawiła mi humor, że nawet już nie byłam tak bardzo wkurzona. Mieliliśmy notebooka i w miarę często zgrywaliśmy zdjęcia, więc straciłam tylko trzy-cztery dni zdjęć, także nie dużo. Musiałam czym prędzej kupić drugi aparat, bo stwierdziłam, że bez niego nie jestem w stanie dalej jechać, bo jak mogę wrócić do domu i nie mieć pamiątkowych fotografii? W Chinach kupiłam używany aparat, ten sam model, co stracony wcześniej, i znowu mogłam uwieczniać wspaniałe

chwile! Wniosek? Jeśli udajesz się w podróż do obcego kraju, zrób zdjęcie swojego aparatu, bo gdy go ukradną, musisz mieć jakiś dowód, że należał do ciebie. Myślę, że dotyczy to również telefonów, portfeli i dokumentów...

RAJSKA WYSPA – SKLEPIKARZU, ZAPOATRZ SIĘ W PROCĘ!

Zmęczeni nieustannym podróżowaniem po Azji i ciągłym szokiem kulturowym, Ola i Janek dotarli na rajska wyspę – Langkawi w Malezji, gdzie postanowili zatrzymać się na dłuższy czas. Cena za pokój, strefa bezcłowa i inne atrakcje zachęcały do dłuższego pobytu.

– Nie mieliśmy już pomysłu, co dalej robić, w końcu przyszło nam do głowy, żeby jechać na rajska wyspę, czemu nie! Tam mieliśmy chyba 15 zł za osobę za nocleg. Piliśmy drinki, spędzaliśmy każdy wieczór na plaży, jeździliśmy rowerami. Podziwialiśmy wodospady, latarnie morskie oraz życie podwodne. Mieliliśmy maskę do snorkingu i często wypływaliliśmy rozkoszować się różnorodnością podwodnego życia.

Na rajskiej wyspie każdy sklepikarz i większość mieszkańców zaopatrzonych było w proce. Wszystko po to, by odstraszyć potencjalne złodziejki, jakimi były małpy. Małpy kradły sklepikarzom towary i różne inne rzeczy zwykłym ludziom, dlatego, by je odstraszyć, strzela się do nich z procy. Podróżujący łódkami ludzie muszą uważać na tak zwane małpie mafie, które podpływają do łódek i bez najmniejszego strachu kradną ludziom paszporty, portfele, napoje, torebki... Trudno odstraszyć taką zgraję jedną procą, więc dobrym sposobem na przegonienie złodziejek jest rzucanie im fiastasków. Dla Oli i Janka wydawało się to śmieszne, lecz dla miejscowych uciekające na drzewo z ich własnością stworzenia stanowiły poważny problem. Tym razem nasi podróżnicy nie stali się ofiarami kradzieży, widocznie małpy nie ograbiają już raz okradzionych.

Wędrowcy przebywali na tej malowniczej wyspie dziesięć dni. Przez ten czas mogli zregenerować siły i obmyśleć plan na dalszą podróż. Kolejne ich przygody poznać w styczniowym numerze „Żaka”. Będziecie mogli przeczytać między innymi o tradycyjnej tybetańskiej ceremonii, w której mieli okazję uczestniczyć, o tym, co tak długa podróż może zmienić w życiu człowieka i o mniej przyjemnej stronie podróżowania, czyli o całej papierologii związanej z wyjazdem do krajów arabskich. ■

Magdalena Legendziewicz

TAJEMNICA GWIAZDY BETLEJEMSKIEJ

Gwiazda Betlejemka jest nieodłącznie związana z tradycją Bożego Narodzenia. Choć dawniej pozostawała po prostu mistyczną tajemnicą, znakiem, który prowadził Mędrców ze Wschodu do Betlejem, z czasem zaczęto zastanawiać się nad jej naukowym pochodzeniem. Czy istniała naprawdę? Jakie astronomiczne zjawisko może ją wyjaśnić? A może cała ta historia jest tylko legendą? Niektórzy badacze starają się szukać rozwiązania tej zagadki.

Wszyscy dobrze kojarzymy obraz Gwiazdy Betlejemskiej, a kto próbuje wnikliwiej wyjaśnić jej pochodzenie, bardzo często podaje najpopularniejszą teorię – Gwiazda mogła być kometą. Choć wielu z nas w ten sposób wyobraża sobie to zjawisko, prawda jest nieco inna. Komety w czasie biblijnego wydarzenia nie było po prostu widać, pomijając negatywny symbol samych obiektów (dawniej wierzono, że komety przynosiły na Ziemię nieszczęścia). Skąd więc kometą w tradycji szopki? Pewien słynny malarz, Giotto di Bondone, umieścił na swoim fresku kometę Halleya, którą aktualnie podziwiał na nocnym niebie. Co w takim razie odpowiada za powstanie naszej Gwiazdy?

BŁĄD KALENDARZA

Szukając odpowiedzi krok po kroku, musimy zacząć od określenia daty zjawiska – z racji tego, że obiekty w Układzie Słonecznym są już bardzo dobrze opisane matematycznie, poznanie dokładnego czasu pozwoliłoby nam domyślić się, co wydarzyło się na niebie podczas tamtej nocy. Konwencję zliczania lat w odniesieniu do narodzin Chrystusa wprowadził mnich Dionisius Exiguus. Niestety popełnił on dość ważny błąd – ustalił datę narodzin Chrystusa siedem lat za późno. Wynika z tego, że w rzeczywistości do naszej obecnej daty powinniśmy dodawać utracone siedem lat, co z kolei wpływa w znaczący sposób na obliczenia astronomiczne. Oznacza to, że szukamy układu nocnego nieba na siedem lat przed naszą erą.

OBSERWACJE MAGÓW

W Ewangelii jest mowa o „magach ze Wschodu”. W tamtych czasach jedynym miejscem na wschód od Palestyny, gdzie dokładniej zgłębiano astronomię, był Babilon. Samymi „magami” byli prawdopodobnie uczeni kapłani babilońscy, którzy dobrze znali się na ruchach gwiazd,

w szczególności „gwiazd wędrownych”, czyli planet. W tamtych czasach gwiazdy były bóstwami, duchami i demonami, ponieważ naukę postrzegano bardziej mistycznie niż w czasach współczesnych i badano głównie wpływ ustawienia gwiazd na ludzkie życie. W naszym przypadku szczególne znaczenie ma hierarchia przypisywana tym gwiazdom-bogom.

Jowisz królował na pierwszym miejscu, które zapewniało mu białe-srebrne światło i wędrówka po niebie w dwunastoletnim cyklu. Późnobabilońscy uczeni czcili w nim Marduka – swoje największe bóstwo. Drugim ważnym obiektem dla naszej historii jest Saturn, planeta narodu żydowskiego. Ostatnim elementem układanki jest znak zodiaku – Ryby. Ten znak został przyporządkowany Palestynie, natomiast każdy inny miał swojego odpowiednika w poszczególnym kraju. Tabliczki gliniane znalezione w Babilonie wskazują na bardzo rzadkie zjawisko potrójnego spotkania Jowisza i Saturna właśnie w siódmym roku przed naszą erą. To wydarzenie zwane jest także „wielką koniunkcją”. Spróbujmy pomyśleć jak starożytni magowie: Jowisz, najwyższe bóstwo, spotyka Saturna, przedstawiciela narodu żydowskiego i akurat w znaku Ryb – symbolu Palestyny. Bardzo prawdopodobne, że zinterpretowano to jako wskazówkę narodzenia się króla żydowskiego w Jerozolimie.

WIELKA KONIUNKCJA

Całe zdarzenie jest dokładnie opisane przez klinowe tabliczki babilońskie. Szczególnie dobrze przedstawiona jest pora tuż przed właściwą opozycją (jest to sytuacja, kiedy jedno ciało niebieskie znajduje się po przeciwnej stronie Ziemi niż Słońce). Wtedy obie planety weszły równocześnie na wieczorne niebo, a odległość między nimi wynosiła zaledwie jeden stopień. Następnie zbliżyły się do siebie na

odległość kilku sekund. Takie ułożenie było widoczne przez całą noc 15 września 7 roku przed narodzeniem Chrystusa. Prawdopodobnie babilońscy uczeni właśnie w tym momencie rozpoczęli swoją podróż. Według tego można szacować, że ich podróż trwała około dwa miesiące, czyli przybyli do Jerozolimy w połowie listopada. Tu spotkali Heroda i dopiero od niego dowiedzieli się, że król miał się narodzić w Betlejem. Tego samego dnia wyruszyli dalej, a Jowisz i Saturn pojawiły się po zachodzie Słońca około 50 stopni nad horyzontem w kierunku drogi, którą szli – mogło wydawać się, że planety wskazywały im drogę.

ŚWIATŁO ZODIAKALNE

Mamy tutaj do czynienia z jeszcze jednym czynnikiem, bardzo charakterystycznym dla południowej półkuli – światłem zodiakalnym. Jest to rodzaj poświaty w kształcie stożka, wywołanej oddziaływaniem zewnętrznej korony Słońca z materią międzyplanetarną w płaszczyźnie ekliptyki (koło na sferze niebieskiej, po którym w ciągu roku porusza się Słońce). W czasie, kiedy magowie wędrowali w kierunku Betlejem, podwójna gwiazda, Jowisz i Saturn, znajdowała się na szczycie tego stożka, co mogło sprawiać wrażenie drogowskazu. To zjawisko można obserwować tylko w momencie, kiedy Księżyc nie świeci na niebie. W takim razie datę przybycia do Betlejem można ustalić na 12 listopada 7 roku przed Chrystusem. Fakt, że w Ewangelii mówi się o jednej gwiazdzie, można wyjaśnić tak, że Saturn i Jowisz były tak blisko siebie, że stwarzały złudzenie jednego obiektu. Ponadto istnieje inny dokument, datowany na czwarty rok naszej ery, w którym wyraźnie użyto formy mnogiej „ujrzeli gwiazdy i podążyli za nimi”. W ten sposób rozwiewa się ostatnia wątpliwość. ■

Joanna Maria Więckowska

ŚWIĘTA, ŚWIĘTA I PO ŚWIĘTACH

Nie sposób zapomnieć o Bożym Narodzeniu. Od listopada skutecznie bronią nas przed tym wszędobylskie reklamy czy opaśli mikołajowie w czerwonych kubraczkach, śledzący każdy nasz ruch zza sklepowych szyb. Nie ma to jak Święta! Na Rynku skrzy się gigantyczna choinka, pod którą po ciężkim dniu możemy wychylić szklaneczkę grzanego wina i zagryźć piernikiem. Korzenne przyprawy, procenty rozgrzeją nas i wprowadzą w błogi nastrój. A myśl o zbliżającym się urlopie dopełni szczęścia. Hurra! Hurra...? Czy aby na pewno nie przesadzamy z całą tą magią świąt?

Przed przejściem do grudniowych tematów należałoby ustalić, czym właściwie odróżnia się dzień, który się święci, od dnia powszedniego. Otóż jest to specjalnie wyselekcjonowana data z puli 364/365 innych dat, kiedy wszyscy przypominają sobie o wyjątkowym wydarzeniu. Pamięć tę trzeba w pewien sposób zademonstrować! Dlatego jak jeden mąż podążamy do kościoła czy wywieszamy flagi. Ale nie tylko. W celu upamiętnienia ważnej osoby wystawiamy tego dnia jej fotografię na parapet (ilu to Janów Pawłów II błogosławi nas z okien kamienic i bloków!). Przyłączamy się też chętnie z transparentem do marszu pewnej grupy zawodowej lub społecznej. Możemy również po prostu pozostać w domu w stanie odprężenia lub, wręcz przeciwnie, udać się do swojego miejsca pracy. W końcu czasem pracodawca nie pozwala uczcić czcigodnej daty urlopem. W zasadzie to całkiem często – gdyby popatrzeć na kalendarz, kilkanaście razy w miesiącu trzeba coś świętować. A codziennie ktoś ma imieniny. Czy przypadkiem święta nam nie spowszedniały? Chyba trochę. Pomiędzy Nowym Rokiem a Sylwestrem nie znajdziemy dnia bez świętowania – bo jak tu nie uczcić Dnia bez Łapówki i Dnia Kota (to drugie bardzo na czasie)?

Można z tego wysnuć wniosek, iż nie powinno zachowywać się już odświętnie, tylko przeciętnie – jak co dzień. Albo: codziennie robić rzeczy wyjątkowe. Zwykle wspomnienie jakiegoś wydarzenia czy pewnej osoby też się do nich zalicza? Przede wszystkim! Z pewnością jest więcej warte niż całe to narodowe wielkie ruszenie z marszami, których uczestnicy manifestują pojęcia, o których... nie mają pojęcia. Albo jazda przez pół Polski na hurra pierwszego listopada. W pociągach brak miejscówek, korki na drogach, które wciąż nie zaliczają się do autostrad lub ekspresówek. A wszystko po to, aby przejść się w sznurku po cmentarzu i posiedzieć przy stole z niemrawą rodziną? Oby nie! Chociaż w większości przypadków tak właśnie wychodzi, pamiętajmy

– zamiast jest inny. Dzień Wszystkich Świętych obchodzi się nie tylko z uwagi na pamięć o zmarłych, lecz po to, by celebrować życie. Brzmi to może niedorzecznie i bardzo mało w tym polskiego patosu, ale umartwianie się – powiedzmy sobie szczerze – męczy i często okazuje się tylko na pokaz. Chodzi o pielęgnację wspomnień, zarówno dobrych, jak i tych nienajlepszych, oraz wyciąganie z nich wniosków na przyszłość. Przy okazji ocali się mogiłę dziada i pradziada od zapomnienia. A także dobrze zje.

Bo na święta szykujemy. Gotujemy. Jemy. Co prawda przed samym wydaniem jedzenia i procesem konsumpcji również krzyczymy, denerwujemy się, a nawet ronimy łez kilka (na przykład do farszu na ruskie). Jednakże moment



rys. Aleksandra Pędziwiatr

siadania do stołu i wspólnego spożywania potraw powinien sprawić, że atmosfera nabierze właściwej świętości. Stół stanie się symbolem pojednania. Bo człowiek najedzony to człowiek zadowolony, życzliwy i towarzyski.

Jeśli został poruszony temat stołu, konsumpcjonizmu i pierogów, to najwyższa pora przejść do TYCH świąt. Zapomnieć o nich nie sposób – to nie to samo, co imieniny dziewczyny. Supermarkety skrzą się kolorowymi światełkami i oferują swoje produkty tanie jak barszcz. Świąteczne promocje! Zatrzymaj się! Zobacz! Przecież musisz to mieć! Więc wejdź i kup! Cokolwiek! Z sensem czy bez niego, pieniądze należy wydać i każdemu sprawić prezent. I tak już od października wszystko się

rozkręca w całkiem niezłym tempie, natomiast w grudniu przyspiesza do absurdalnych prędkości. W centrach miast kolorowe jarmarki, na których w większości kicz ścielę się gęsto. Na mniejszych placach składowiska choinek i gdzieś tam jeszcze skandalicznie małe banie ze skandalicznie wielką liczbą karpi. Natomiast dwa dni przed Wigilią, godziną zero, życie zamyka się w kuchni. Przecież trzeba zdążyć z przygotowaniem tradycyjnych dwunastu potraw w ilościach takich, by było co jeść aż do Sylwestra. Dużo, syto i dużo – żeby nie wstać od stołu do następnego posiłku. Zastaw się, a postaw się. Nie oszczędzamy na nikim i na niczym. W końcu zjeżdżamy się wszyscy do domu. Bez rodziny i tego patrzenia spode łba po świątecznej atmosferze nie byłoby śladu...

Wszystko powyżej nie brzmi dobrze i przedstawia się raczej w ciemnych barwach, a jednak każdy czeka z utęsknieniem na tę czarną godzinę. Dlaczego? Z powodu prezentów – nie, to nie Święty Mikołaj je przynosi. Za sprawą malowniczego białego pejzażu za oknem – też nie, klimat już nie ten. Zatem może dzięki dobremu Duchowi Bożego Narodzenia, który tchnie nieco radości i miłości? Trochę absurdalna odpowiedź, ale jakie, jeśli nieabsurdalne, jest życie – tak! Trzy razy tak! Najlepiej poszukiwania tej zjawy rozpocząć nie od obejrzenia świątecznych reklam Coca-Coli (bo Pepsi lepsza...), tylko od przyjrzenia się własnej osobie. Zastanówmy się, czego oczekujemy od tych świąt. W końcu to też nasze wolne i należy nam się jakiś odpoczynek w przyjaznym otoczeniu. Oczywiście nikt tutaj nie zachęca do porzucenia mam w kuchni i udania się w Bieszczady (nie o tej porze roku). Jeżeli świąteczne wariactwo dotknęło najbliższych, próbujemy zmniejszyć napięcie i bądźmy ostoją normalności. Jeśli nie zdołamy, sami nie wprowadzajmy chorej atmosfery. Spędźmy je w taki sposób, żeby potem móc o nich napisać: Święta, a nie święta. ■

Aleksandra Pędziwiatr

PAMIĘTNIKI Z POLITECHNIKI

Przedstawiam wam dzieje wymagowanej paczki znajomych: Jarka, Elki, Marty i Eryka, którzy zaprzyjaźnili się podczas studiów. Połączyły ich sprawozdania dla prowadzących mówiących po hebrajsku, emocjonujące zapisy na zajęcia, stanie w kolejkach i zakupywanie do kolokwiów i egzaminów. Po trzech latach studiów przyjaciele postanowili założyć wspólny pamiętnik, w którym będą opisywać dzieje ich studenckiego życia, by po latach raczyć się jego lekturą i pokazywać potomnym. W tym numerze możecie zapoznać się z relacją Jarka.

Środa, 5 października 2016, Serowiec
Polibuda łączy – powiedział kiedyś ktoś bardzo mądry... Nie, no dobra, przesadziłem, większość moich znajomych w kółko to powtarza, a nie każdy pretenduje do miana mądrego. Ważne, że w moim przypadku się to sprawdza – ja tak mówię, bo jestem mądry. Brzmi jak przechwałki, ale do czego zmierzam? Po prawie czterech latach studiów udało mi się uzyskać średnią na tyle przyzwoitą, że nie wstyd mi było stać 16 minut 17 sekund w kolejce do pokoju 1.02 w – umiłowanym przez wszystkich studentów – Serowcu. Tego dnia tropikalny mikroklimat pierwszego piętra okazał się być ukojeniem dla wielu przemarzniętych bytów, łaknących comiesięcznych wpłat na swoje nędzne, dziurawe niczym kieszeń żebraka konto studenckie w banku bynajmniej nie lichym, a wręcz bardzo wystawnym, o placówkach klimatyzowanych. Nie wstyd mi stać w tej kolejce, bo jestem tu z towarzyszami niedoli, których poznałem całe trzy lata temu na integracji. Dla każdego z nas jest to pierwszy raz; wszyscy z ciekawością i lekką obawą zerkamy na innych studentów w korowodzie przed nami i za nami. Chłopak stojący za mną ma średnią o zero przecinek tuzin większą ode mnie; dziewczyna za Elą – ostatnią w kolejce osobą z naszej paczki – ma średnią mniejszą od każdego z naszej ekipy. Wygląda na to, że ludzie ustawili się malejąco. Dzielę się swoimi spostrzeżeniami z moimi znajomymi.

– Nie no, co Ty, tamten z przodu ma 4,00! Ja nie wiem, na co on liczy... – Ela komentuje trochę za głośno, tak, że wszyscy zwracają na nas uwagę. Marta i Eryk udają, że nas nie znają mimo że stoją między nami, a moje policzki płoną ze wstydu – zaczynam odczuwać, że tropikalny mikroklimat jednak mi nie służy, Elka natomiast tylko wzrusza ramionami i mówi:

– No co? Taka prawda.

Student nazwany przez Elkę Tamten-z-Przodu, zawstydzony śmiałą uwagą naszej koleżanki, zaczyna się tłumaczyć, że co prawda jego średnia rzeczywiście jest niska, ale za to ma publikacje i brał

udział w różnych olimpiadach, i w ogóle ma sporo punktów za osiągnięcia, a taka słaba średnia była wynikiem tego, że z pewnego przedmiotu za 6 ECTS-ów miał 3. Elka zastanawia się, co punkty ECTS mają do rzeczy, a ja zaczynam rozumieć skąd jej wysoka średnia...

– Jak to średnia ważona? A nie arytmetyczna?! – wykrzykuje z przerażeniem.

Eryk łapie się za głowę, ja duszę się ze śmiechu i gorąca, Marta zadaje pytania retoryczne, typu: „Nie czytałaś regulaminu? Co ty, nie wiedziałaś?”. Kolejka rozbawiona, pani od przyjmowania wniosków rozwścieczona, bo przez dłuższą chwilę woła następnego studenta, ale nikt jej nie słyszy. I dlatego właśnie uważam, że jestem w miarę mądry – mam średnią uprawniającą mnie do złożenia wniosku, potrafię czytać, a w wolnych chwilach obliczam średnią ważoną...

Sobota, 20 listopada 2016, dom (ten prawdziwy)

Jak wspomniałem ponad miesiąc temu – Polibuda łączy. Tym razem daruję sobie teksty o tym, jaki to jestem mądry (tylko Erykowi zostało przyznane stypendium, bo miał dużo osiągnięć sportowych); dziś chciałbym skupić się na naszej paczce.

Całkiem niedawno podjęliśmy bardzo ważną decyzję. Postanowiliśmy zamieszkać razem i w pełni korzystać ze studenckiego życia, bo tak niewiele nam go zostało. A tak poważnie, to każde z nas straciło dach nad głową (we Wrocławiu z różnych powodów. Uznaliśmy, że to idealna okazja, by wynająć wspólnie całe mieszkanie – łudziliśmy się, że tak będzie taniej. Szybko okazało się, że przez te trzy lata, podczas których każdy miał w miarę stałe lokum, dużo się zmieniło na rynku nieruchomości. Nawet wynajmując całe mieszkanie płacilibyśmy dużo drożej niż dotychczas, w starych wygrzanych stancjach. W mig pojąłem, dlaczego właściciel mojego mieszkania postanowił podnieść czynsz o 250 zł, co, jak się okazuje, i tak było z jego strony aktem łaski, a mnie wydawało się, że jest wstrętnym skąpcem, który chce ze mnie zedrzeć. Uniosłem się dumą i na wieść o podwyżce

rzekłem: *Adios!* Byłem święcie przekonany, że znajdę coś tańszego i bliżej uczelni. Póki co szukamy, szukamy nieustannie, lecz z mizernymi rezultatami. Mam czas do końca miesiąca, żeby się wyprowadzić – jestem na wojennej ścieżce z właścicielem, bo trochę mu nawtykałem za tę podwyżkę. Marta dojeżdża z domu rodzinnego, bo ma z nas wszystkich najbliżej (ok. 95 km), Elka koczuje u jakiejś koleżanki, której podobno powoli kończy się już cierpliwość, Eryk, podobnie jak ja, ma gdzie mieszkać tylko do końca miesiąca. Okropna jest ta presja. Co z nami będzie, gdy nic nie znajdziemy? Dotychczas obejrzeliśmy siedem mieszkań, z czego jedno już prawie wynajęliśmy; było nam obiecane... Przez trzy dni żyliśmy w przekonaniu, że mamy zarezerwowaną studencką chatkę, nieopodal naszej uczelni, w cenie dosyć przystępnej, o standardzie, o którym nie śniło się niektórym studenciakom. Uzgodniliśmy już, kto gdzie będzie spał, ustaliliśmy nawet grafik na sprzątanie i wyrzucanie śmieci, który miał wisieć na lodówce. Zaczęliśmy powoli zapraszać znajomych na imprezkę, której termin zaplanowaliśmy na 3 grudnia, zrobiliśmy już nawet listę zakupów...

I co? Wszystko przyszło jak bańka mydlana. Po wspomnianych trzech dniach odebrałem telefon, a to co usłyszałem sprawiło, że upuściłem go na ziemię – prawie jak w filmie, z tą różnicą, że w TV bohaterom nie pęka szybka w telefonie.

– Rozmawiałam z mamą – słyszę przepełniony głos córki właścicielki naszego niedoszłego lokum – uznałyśmy, że chyba jednak nie chcemy wynajmować mieszkania studentom...

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo kobieta o niegdyś przepełnionym głosie rozłączyła się. Długo nie mogłem się otrząsnąć, a przyjaciele przez godzinę próbowali ze mnie wyciągnąć, co się stało. Kiedy powiedziałem im o mieszkaniu, zaczęli się wściekać i wzajemnie nakręcać. Ja miałem o jeden powód do złości więcej – ucierpiał mój telefon. Widocznie poszukiwania dachu nad głową dla studentów wymagają ofiar... ■

Magdalena Legendziewicz

JARMARKI BOŻONARODZENIOWE

Gdy na ulicach zaczynają pojawiać się świąteczne ozdoby, w radiu coraz częściej słyszymy *Last Christmas* George'a Michaela, a sklepy rozpoczynają rywalizację na oferty prezentowe, wiemy, że Święta Bożego Narodzenia są już za pasem. Wtedy też na wrocławskim Rynku rozpoczyna się Jarmark Bożonarodzeniowy który przez kolejne tygodnie przyciąga odwiedzających wyjątkowym klimatem, licznymi straganami z rękodziełami, zapachem tradycyjnych potraw i kubkiem aromatycznego grzańca.

Historia jarmarków bożonarodzeniowych sięga XIII wieku, a obecnie możemy je odwiedzić w wielu miejscach w całej Europie. Niezmiennie cieszą się ogromną popularnością, wprowadzając wszystkich gości w prawdziwie świąteczny nastrój.

PIERWSZE JARMARKI

Cofnijmy się do 23 grudnia 1294 roku do Austrii, a dokładnie do Wiednia. Na głównym placu miasta, zwanym obecnie Placem Ratuszowym, stoją drewniane budki, a właściciele krążą pomiędzy nimi z wyrobami, które w ciągu tego jednego dnia staną się głównym obiektem zainteresowań mieszkańców miasta. Na środku nie stoi ogromna choinka ozdobiona lampkami, nie słychać muzyki puszczanej z głośników, lecz mimo to magiczny klimat świąt wisi w powietrzu. Ludzie pozdrawiają się, rozmawiają, kupują świeżo wypieczone chleby i wybierają prezenty dla dzieci. Mają tylko jeden dzień na zakup wszystkich podarków, które w zawrotnym tempie znikają ze straganów. W pełni zadowoleni sprzedający składają klientom życzenia świąteczne i tak mija pierwszy w historii jarmark bożonarodzeniowy.

Panujący wówczas Albrecht I zezwolił na organizowanie jednodniowego jarmarku w każdym tygodniu roku, lecz ten przed świętami wyróżniał się bogactwem towarów oraz cieszył największą popularnością, szczególnie ze względu na poprzedzający go okres postu. W ciągu następnych lat jarmarki świąteczne zaczęły pojawiać się w wielu niemieckojęzycznych miastach i stały się nieodłącznym elementem przygotowań do Świąt Bożego Narodzenia. W Niemczech pierwsze

takie wydarzenie zorganizowane zostało w Monachium, a kolejne w Dreźnie.

Początkowo jarmarki trwały zaledwie jeden dzień i były miejscem, gdzie przede wszystkim kupowano świeże produkty oraz prezenty. Wraz z upływem czasu stawały się one jednak coraz większe i piękniejsze, trwały dłużej i więcej uwagi poświęcano tworzeniu świątecznego nastroju. Na wiedeńskim

świątowej powoli zaczęto wracać do zwyczaju, a już w latach 80. jarmarki cieszyły się równie dużą popularnością jak wcześniej.

NAJWIĘKSZE JARMARKI W EUROPIE

Obecnie największe i najpopularniejsze jarmarki znajdują się w miastach niemieckich i austriackich. Organizowane są przeważnie na placach położonych w centrum, dlatego podczas spaceru po mieście można na nie trafić prawie za każdym zakretem. W Niemczech jeden z najbardziej znanych jarmarków odbywa się w Monachium. Świątecznie udekorowane jest tu właściwie całe miasto, gdyż niemal każda dzielnica organizuje swoje własne targowisko, a centralny plac zdobi 30-metrowa choinka. Natomiast w Norymberdze odbywa się jarmark znany przede wszystkim z „norymberskiego anioła”, a więc tradycji otwierania jarmarku przez piękną dziewczynę symbolizującą Dzieciątko Jezus. Świąteczny nastrój można poczuć też w Berlinie, Poczdamie czy Dreźnie. W Austrii największy jarmark odbywa się w stolicy – kolebce tradycji – jak również w Salzburgu i wielu mniejszych miejscowościach. Warto też odwiedzić między innymi targowiska we Francji, Holandii, Belgii czy Chorwacji. Koniecznie należy wspomnieć także

o polskich jarmarkach, które mogą rywalizować z niemieckimi czy austriackimi o miano najpiękniejszych.

JARMARK WROCŁAWSKI

Jarmark w naszym mieście jest jednym z najpopularniejszych i najpiękniejszych w kraju – w okresie przedświątecznym Wrocław, Warszawa i Kraków



FOT. ALEKSANDRA PODSADNIAK

jarmarku pierwsza choinka zapłonęła dopiero w 1816 roku, a historia głosi, że ozdobiła ją samodzielnie żona ówczesnego cesarza Austrii. W połowie XIX wieku popularność jarmarków bożonarodzeniowych zaczęła spadać. W Europie nastały niespokojne czasy i w wielu miastach odstąpiono od tradycji organizowania tego typu imprez. Po II wojnie

stanowią cel dla tysięcy turystów, nie tylko z Polski. Organizowany jest od wielu lat i co roku zaskakuje nowymi ozdobami i świątecznymi atrakcjami.

Pierwsze zapiski o jarmarku we Wrocławiu sięgają XVI wieku. Początkowo organizowany był na Rynku, następnie przeniesiono go na plac Nowy Targ, a po wielu latach przerwy ponownie zawitał w centrum starówki. Dzięki kolorowym świątecznym ozdobom, w tym 20-metrowej choince, której rozpalenie stanowi

w mieście nie lada wydarzenie, i dzieciątkom straganów pełnych różności, na jarmarku panuje prawdziwie magiczny nastrój. Wiatrak z trzykondygnacyjną szopką, stanowiący najbardziej charakterystyczny element tego wydarzenia, powstał na zamówienie w Niemczech, u specjalistów od tworzenia przedświątecznej atmosfery. Jarmark na Rynku zachęca do ogrzania się grzańcem przy plenerowych kominkach, skosztowania regionalnych przysmaków, podziwiania

ręcznych wyrobów, ale przede wszystkim do pocucia zbliżających się świąt. Powinniśmy wykorzystać tę cudowną możliwość, którą daje nam Wrocław, i wybrać się na Jarmark Bożonarodzeniowy. Sam spacer po Rynku wprowadzi nas w świąteczny nastrój, a każdy, kto choć raz odwiedził to miejsce, na pewno z przyjemnością do niego wróci. Jestem tego doskonałym przykładem. ■

Ewelina Szwal

BŁĘKITNY MOTYL (FRAGMENT)

Lodowata woda obmywała łapczywie moje trupioblade stopy. Zmęczenie odeszło w niepamięć. Kilkunastometrowy bieg zapewnił mi sporą dawkę emocji, a już na pewno wolność. Powietrze. Tak niezwykle ciężkie, choć w końcu prawdziwe, żywe, czyste (względnie – bo czego można spodziewać się po zatłoczonym, prędko rozwijającym się mieście, które odstrasza mieszkańców spalinami). Nie wiedziałam, że Podwale może być tak piękne. Szczególnie jesienią, która – odkąd pamiętam – doprowadzała mnie do szału. Napawałam się tą chwilą przez kilkanaście minut. Potem przypominałam sobie, co tutaj robię. Uciekłam.

Chęć przetrwania była silniejsza niż waga, a zatem podjęcie innych (kto wie, czy nie o wiele korzystniejszych) decyzji i działań nie było przez to możliwe. Nie mogłam się teraz wycofać, ale też nie potrafiłam ruszyć naprzód. W głowie przeplatały mi się najróżniejsze obrazy. Jak na złość, umysł odtwarzał nieustannie utwór zespołu Green Day *Westbound sign* w wersji akustycznej. Pieprzone szczątki dawnego życia. Wspomnienia. Tak realne, choć jakby dobiły się do mnie z innego świata. Nie wiedziałam, na którym obrazie skupić się najbardziej, który przywołać w całości. Kompletny chaos. Przenikliwy dreszcz ogarnął całe moje ciało, aż zmroził i tak zmarznęte serce. Prawa półkula mózgu jakby zmieniała swój kształt, co dostarczało mi kolejnych katuszy. Do tego suche, spierzchnięte usta. Gdyby nie ubiór wolontariuszki, który miałam na sobie, już dawno wzięto by mnie za wariatkę. Owszem, byłam z wariatkowa, ale nie byłam chora.

– Czy wszystko w porządku? – otrzeźwiałam na dźwięk męskiego głosu. Odwróciłam się niczym spłoszona sarna i ruszyłam wzdłuż Promenady Staromiejskiej. Nawet nie przyjrzałam się, kto naruszył moją przestrzeń.

Bose stopy i zapadające się płuca z wysiłku. Trochę za dużo ruchu jak na pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Dzięki adrenalinie nogi same poniosły mnie pod jakąś powojenną kamienicę. Mój umysł nie zarejestrował nawet, kiedy przeszedłam przez ulicę. Zatrzymałam się u progu starych, drewnianych drzwi. Znałam to

miejsce. Przyjrzałam się nazwiskom na domofonie. Lisowski. Jedyna osoba, co do której miałam pewność, że nie zapyta mnie o zbyt wiele i po prostu pomoże bezinteresownie.

– Halo?

– Cześć. To ja, Alicja. Pamiętasz mnie?

– Trudno zapomnieć takiej postaci. Zapraszam – dźwięk przyjemnego głosu zmieszał się z sygnałem domofonu, co przyprawiło mnie o dreszcze. Z trudem poradziłam sobie z otwarciem wiekowych drzwi. Wchodziłam po chłodnych schodach jak skradający się kot: na palcach, najciszej jak potrafiłam. Uporczywie trzymałam się poręczy. Zapomniałam spojrzeć, który to numer mieszkania, na szczęście Marcel stał w drzwiach – wysoki, szczupły, jak zwykle z kręconymi włosami w nieładzie i w tym swoim poplamionym lnianym kombinezonie.

– Jestem twoją szczęśliwą siódmką, Alicjo – zatrzymałam się, wręcz zawisłam w miejscu na tych schodach. Spojrzałam na niego przestraszona i niemal czułam, jak rozszerzają mi się źrenice. Czyżby jednak wiedział?

– No co? Spójrz na cyferkę – frywolnie wskazał na drzwi i zniknął, wchodząc do mieszkania. Słaby żart. Rozluźniłam napięte ciało, aby wyglądać jak najnormalniej. Powoli weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Marcel już grzał wodę.

– Pamiętam, że nie pijasz kawy – potrzęsnałam pudełkiem z liśćmi mięty. – Powiedz, co cię do mnie sprowadza, Alicjo? Masz niedokończony kostium na Halloween, więc przypuszczam, że stąd twoja

wizyta.

Gdybym zachowała resztki dawnej osobowości, zaczęłabym się śmiać i pociągnęłabym temat w podobnie żartobliwy sposób. Jedyne, na co było mnie teraz stać, to głęboki wdech i szorstki ton głosu:

– Chciałabym wziąć prysznic, poprosić o jakieś normalne ubranie i buty, trochę pieniędzy i może dzień w twojej pracowni... – starałam się, jak mogłam, aby prośba zabrzmiała bardzo naturalnie. Ostatnimi czasy zamiast mówić krzyczałam bądź milczałam. To chyba logiczne, że zdrowa osoba w psychiatryku staje się chora umysłowo.

– Jestem do twojej dyspozycji. Zrobię ci coś do jedzenia, a ty się rozgość.

Tylko człowiek równie pomylony jest w stanie obdarzyć szaleńca zaufaniem. Powędrowałam do łazienki, bo najbardziej na świecie potrzebowałam właśnie setek godzin pod prysznicem. Musiałam obmyć się ze wszystkich toksyn z tego paskudnego miejsca. Sam rytuał dostarczył mi niebywałej ulgi. Każda kropla, spływająca po moim obolałym ciele, wsiąkała w nie, regenerując wszystkie komórki w organizmie. Mój umysł jakby otrzeźwiał, przywołując w pełni pewne wspomnienie.

Wspaniałe perfumy Chanel unoszące się w powietrzu, stojąca przy lustrze siedmioletnia dziewczynka, usiłująca spiąć swą burzę loków oraz pomalować usta krwistoczerwoną szminką. Obok niej kołysząca się, wyrafinowana kobieta, która oplotła swą szyję szalem z piór. Obydwie

postacie poruszają się do tańca w rytm jazzowej muzyki.

Wtem nogi ugięły się pode mną. Mózg ścisnął mi się od myśli. Opuszkami palców delikatnie dotknęłam nosa – poczułam coś ciepłego. Szkarłatna krew. Utraciłam świadomość. Duch jakby ciało opuścił.

Śnił mi się mróz. Wielka woda i siwy dym. Siedem zimnych mórz. Stałam w ciszy, po kolana otoczona mgłą dziwnej materii. Chyba śniłam na jawie. Ta rzeczywistość wydawała mi się taka realna. Trochę przypominała Park Szczytnicki o poranku, kiedy nie ma nikogo i cały teren spowity jest mrokiem o tej porze roku. Nagle wyrwałam się z objęć Morfeusza, ponieważ poczułam dotyk ciepła na policzku.

– Alicjo? – poranne światło oślepiło mnie na tyle, iż nie rozpoznałam twarzy Marcela. Odniosłam wrażenie, że pochyła się nade mną sam anioł. – Spałaś trzynaście godzin. Jesteś wyczerpana, ale jakosć żyć dalej w miarę normalnie trzeba. Wstajemy. Jemy. Ubieramy się. A dalej... Decyduj sama.

Nim zdążyłam się podnieść, wcisnął mi w dłoń ogromny kubek wypełniony po brzegi gorącą herbatą.

Potrzebuję pieniędzy.

Właściwie to nie wiedziałam, ile mam czasu. Czy zaczęli mnie już szukać. Nie przemyślałam niczego. Byłabym kiepskim materiałem na bohatera filmu akcji.

– Masz szczęście, że ostatnio sprzedaż obrazów bardzo mi się powodzi. Skoro prosisz o pieniądze to znaczy, że mnie już

opuszczasz? – Szalenie zielone tęczyówki patrzyły na mnie z zasmuceniem. Zanim jednak miałabym go osamotnić, wpadłam na pewien pomysł.

– Kiedyś coś ci obiecałam, pamiętasz? Żebym nie wyglądała jak trup...

– Należałoby cię przefarbować – przerwał mi. Widziałam, że się rozchmurzył. Na dodatek realizacja tego pomysłu uchroniłaby mnie od rozpoznania na ulicy. – To z blondynki uczynimy cię szatynką?

– Czerwone.

Jego brwi zabawnie zafalowały na moją odpowiedź.

– Jak zwykle zdumiewasz mnie, Alicjo. Zatem idę do sklepu. ■

Marta Ulatowska

MUZYCZNA PODRÓŻ

Ilu ludzi, tyle gustów. Przemysł muzyczny oferuje tak bogaty wybór gatunków, że czasem trudno zdecydować, czego w danej chwili posłuchać. W tramwaju, w domu, w parku, na siłowni – wszędzie, gdzie jesteśmy, towarzyszy nam muzyka. Jedni są wierni jednemu artyście, drudzy słuchają wszystkiego, co im wpadnie w ręce. Ogromna dostępność muzyki sprawia, że nie musimy czekać, aż ukaże się cały album. Artyści sami udostępniają swoje dzieła w Internecie, dzięki czemu w kilka sekund możemy wejść w posiadanie usłyszanego przed sekundą kawałka.

Czasem trafiamy na coś zupełnie przypadkiem, a po czasie okazuje się, że jest to muzyka, której od dawna szukaliśmy. Właśnie to spotkało mnie w przypadku islandzkiego zespołu Of Monsters and Men i singla *Little Talks* z ich debiutanckiej płyty *My Head is an Animal*, który usłyszałam w radiu. Później dotarłam do innych utworów, które zachwyciły mnie równie mocno, jak ten pierwszy.

Tym, co rzuca się w oczy (a raczej w uszy), jest trudność dopasowania tych dźwięków do określonego gatunku muzycznego. Indie folk przeplata się z elementami indie popu. Zdecydowanie jest to muzyka niezależna i przez wspomnianą wcześniej nieokreśloność gatunkową nie wszystkim przypadnie do gustu. Trzeba przyznać, że do stworzenia tych niepowtarzalnych, a przy tym wpadających w ucho melodii, użyto szerokiej gamy instrumentów.

Tekst każdego z utworów opowiada odrębną historię, która zabiera słuchacza w coraz to nowe miejsca, o których nikt wcześniej nie słyszał. Możemy puścić wodze fantazji, w jednej chwili wybrać się w podróż w nieznane i znaleźć się w alternatywnym świecie. Teksty, których autorami są członkowie zespołu, zostały napisane w iście poetyckim stylu.

Wykorzystano niejednoznaczne metafory i porównania. Tematyka utworów także jest niejednoznaczna. Dotyczy przede wszystkim miłości, tęsknoty i wewnętrznej walki. Odbiorca może interpretować utwory w dowolny sposób. Ilu słuchaczy, tyle odmiennych interpretacji.

Oprócz muzyki zespół stworzył również krótkie formy filmowe. Nie można powiedzieć, że teledyski zostały nagrane. Większość z nich to animacje, a w niektórych występują członkowie zespołu i aktorzy. Niewątpliwie można nazwać je prawdziwą sztuką. Nie posłużono się prostym przekazem, bo w wideoklipach jest dużo niedopowiedzeń. Poza tym wszystkie teledyski utrzymane są w jednolitym, nieco mrocznym klimacie. Ciemne tła i jeszcze ciemniejsze postacie miejscami wydają się nie pasować do rytmicznej muzyki, która im towarzyszy.

Płyta *My Head is an Animal* jest doskonałą ścieżką dźwiękową do długich zimowych wieczorów, podczas których przychodzi chęć na dogłębną introspekcję i analizę swojego życia. Mimo że teksty są często przygnębiające, to chwytliwe melodie z powodzeniem wyrównają w odbiorcy poziom smutku i zadumy. Of Monsters and Men to alternatywa dla wszystkich zespołów

tworzących na jedno kopyto, byle zbić kasę na kolejnym hicie, i jest to jeden z powodów, dla których warto sięgnąć po krążek Islandczyków.

Aleksandra Sójka

BELE ISKRE V NEBO...

Wiodące stacje radiowe przyzwyczaiły nas do tego, że równie często można w nich usłyszeć utwory angielskie i polskie. Od czasu do czasu pojawiają się też przeboje francuskie, hiszpańskie lub włoskie. Pozostaje jednak cała gama języków, które w muzyce wciąż wydają się nam lekko egzotyczne i nie cieszą się należną popularnością. Ilu z was, drodzy czytelnicy, słuchało kiedykolwiek słoweńskiego rocka?

...V TEMI SE VIDI HORIZONT...

Moja przygoda z Siddhartą zaczęła się mniej więcej sześć lat temu, od płyty *Rh-*, która była dla mnie pełnym objawieniem i odpowiedzią na niewypowiedziane modlitwy. Rzadko słucham płyt w całości – przeważnie dzielę je na utwory, które przewijam, i takie, które zapętlam. W wypadku *Rh-* o jakimkolwiek przeskakiwaniu piosenek nie mogło być mowy: mimo faktu, że każda z nich jest

charakterystyczna, tworzą spójną całość.

Początkowo zespół urzekł mnie przede wszystkim muzyką – mocną i przenikliwą, bez względu na to, czy mowa o przejmującym *Sim Hae*, czy energicznym *Rooskie*. Zrozumienie tekstu przyszło później, wraz z fascynacją językiem słoweńskim, który wbrew pozorom nie różni się od polskiego tak bardzo, jak początkowo mogłoby się wydawać. Osobom, które przy pierwszym kontakcie ten język może drażnić lub bawić, polecam przesłuchanie angielskiej wersji krążka. Jest to dobry sposób na oswojenie się z nowym, niespotykanym na polskiej scenie muzycznej brzmieniem i na wczucie się w klimat płyty. Aby jednak

docenić ją w pełni, należy poznać edycję słoweńską, ponieważ oryginalne wersje utworów zdecydowanie lepiej uzupełniają się z muzyką. Album *Rh-* zawiera też utwory *Marslander* i *Etna*, które zostały nagrane po angielsku i nie mają swoich słoweńskich odpowiedników.

...NI ME STRAH ZA JUTRIŠNJI DAN, TO MORA BITI RAJ!

Instrumentem, który wysuwa się na muzyczny pierwszy plan w większości utworów Siddharty, jest keyboard. Dzięki niemu poszczególne kawałki zyskują charakterystyczny rys już od pierwszych dźwięków, czego przykładem jest *Napoj* lub *Sim Hae*. Na wspomnienie zasługuje

też *T.H.O.R.*, który jest zdecydowanie najmocniejszym utworem na płycie, głównie za sprawą wyraźnie słyszalnej perkusji.

W przeciągu ubiegłych kilku lat Siddharta trzykrotnie odwiedziła Polskę, ostatnim razem podczas trasy promującej ich szósty album: VI. W podziękowaniu za ciepłe przyjęcie przez fanów członkowie zespołu nagrali polską wersję utworu *Samo edini* (Samo jedyny), pochodzącego z płyty *Nord*. Zdecydowanie polecam zarówno ten kawałek, jak i całą twórczość Siddharty – ze szczególnym naciskiem na płytę *Rh-*! ■

Aleksandra Palecka

LUKROWANE HISTORIE ZE SREBRNEGO EKRANU

Grudzień jest miesiącem, w którym wyraźniej niż w listopadzie czujemy nadchodzące święta Bożego Narodzenia. Dla wielu jest to czas wprawiania się w odpowiedni nastrój, okazja do odwiedzania jarmarku bożonarodzeniowego, słuchania świątecznych piosenek, modlenia się o śnieg i szukania idealnych prezentów. To jednak nie wszystko. Nie zapominajmy o filmach, których lekkość niejednokrotnie zażegnała rodzinny, przedświąteczny kryzys.

Nie można w tym momencie nie wspomnieć o produkcji *Kevin sam w domu*, którą wszyscy doskonale znamy. Mimo że obecnie telewizja emituje ją o każdej porze roku, to na zawsze pozostanie ona symbolem Bożego Narodzenia. Nie lada wyzwaniem byłoby znalezienie osoby, która nie oglądała tego filmu z zapartym tchem. Na czym polega jego fenomen? Prosta fabuła i bawiące do łez sytuacje. W miarę dorastania odkrywaliśmy, jak bardzo nieprawdopodobna jest przedstawiona historia. Jednak spójrzmy prawdzie w oczy – z chęcią obejrzymy ten film po raz kolejny. W końcu to klasyka!

ŚWIĄTECZNE PRZEMIANY

O tym, że w święta zawsze wygrywa dobro, a każdy człowiek – nawet najgorszy – może się zmienić, przekonali się bohaterowie filmów *Grinch: święt nie będzie* i *Zły Mikołaj*. Pierwszy z nich opowiada o małym miasteczku, którego mieszkańcy uwielbiają Boże Narodzenie. Jest jednak pewien wyjątek – tajemniczy zielony stwór, Grinch, który nienawidzi świąt, dlatego postanawia ukraść wszystko, co się z nimi wiąże, aby w tym roku się nie odbyły. Czy uda mu się zrealizować swój plan? O tym przekonamy się oglądając film, który pokazuje, że w świętach nie chodzi o choinkę i prezenty, a cały ich

cukierkowy obraz to tylko złudzenie.

Drugi film jest historią Williego – zawodowego oszusta, który każdego roku przebiera się w czerwony strój Mikołaja i podejmuje pracę w centrum handlowym. W dzień rozbawia dzieci słuchając ich prezentowych życzeń, a w nocy planuje napad na sklepowy sejf. Główny bohater jest idealnym przykładem na to, że pogoń za bogactwem i brak skrupułów może wyssać z człowieka całą radość. Kto zmieni jego życie i pokaże mu, co tak naprawdę się liczy? Tego i wiele więcej dowiedzie się podczas seansu.

RÓŻNE OBLCZA MIŁOŚCI

Dlaczego w święta mówimy o miłości? Ponieważ to ona jest powodem, dla którego zasiadamy z rodziną do wigilijnego stołu, obdarowujemy się prezentami i składamy sobie nawzajem życzenia. Filmów o tej tematyce jest tak wiele, że nie wiadomo, który wybrać. Wielu się zgodzi, że tym najbardziej znanym jest *To właśnie miłość*, czyli kilka różnych historii o miłości. Znajdziemy tu miłość przełożonego do pracownicy, wdowca do pasierba, siostry do brata czy sympatię do żony najlepszego przyjaciela. Film pokazuje, że nawet bariera językowa nie jest przeszkodą, gdy spotykają się dwie bratnie dusze.

Inny przykładem kina o tej

tematyce jest *The Holiday* – amerykańska produkcja, która opowiada o dwóch kobietach przeżywających zawody miłosne właśnie w okresie bożonarodzeniowym. Stąd rodzi się pomysł wymiany domami. W ten sposób jedna z bohaterek trafia do małej, wiejskiej chatki w Wielkiej Brytanii, z kolei druga – do willi z basenem w słonecznej Kalifornii. Żadna z pań nie spodziewa się, że ta podróż odmieni ich życie na zawsze.

W tym zestawieniu nie można również zapomnieć o naszej krajowej produkcji, czyli *Listach do M.*, która zwraca uwagę na prawdziwą istotę świąt. Warto się z nią zapoznać, mimo że jest lekko oderwana od polskiej rzeczywistości.

HISTORIE Z MORAŁEM

Filmy świąteczne to nie tylko kolorowe, przesłodzone opowiadki o szczęściu i miłości – posiadają także morał. Większość bożonarodzeniowych produkcji pokazuje, że w czasie świąt to nie choinka i góra prezentów są najważniejsze. Żyjąc w świecie ogarniętym przez konsumpcjonizm zapominamy, że magia Bożego Narodzenia bierze się z radości dzielenia się i wywoływania uśmiechu na twarzy innych ludzi, nawet tych nieznanym. ■

Aleksandra Sójka

FILM, KTÓRY ZMIENIŁ MOJE ŻYCIE

W czasie dorastania niemalże chłoniemy otoczenie. Budujemy światopogląd, kształtujemy charakter. W życiu są też takie momenty, kiedy jesteśmy zmuszeni zweryfikować swoje przekonania. Jednym z katalizatorów prowadzących do zmiany może być kinematografia. Dzięki swojemu bogactwu motywów, pozwala ona spojrzeć na różne aspekty z niejednokrotnie przeciwstawnych punktów widzenia – często sprzecznych z naszymi.

Podczas oglądania filmów, oprócz względów technicznych i artystycznych, przede wszystkim zwracam uwagę na atmosferę, jaką tworzą – i czy w ogóle udaje im się ją stworzyć. Uznaję obraz za wartościowy, kiedy w trakcie seansu zatapiam się zupełnie w świecie przedstawionym. Jest to coś na kształt świetnej powieści, która przykuwa nas do krzesła na długie godziny, a gdy ją w końcu odłożymy (bo przecież trzeba czasem pójść na uczelnię), to i tak marzymy o powrocie do życia naszych bohaterów.

Wszystkie tytuły, do których obejrzenia miałam okazję zachęcić was w *Abecadle*, właśnie takie wrażenie na mnie wywarły. Dlatego tak wielki problem przysporzył mi wybór konkretnego filmu, który wpłynął w jakiś sposób na moje postrzeganie miłości. Po dość długiej chwili rozmyślenia zdecydowałam się na *Nic osobistego* Urszuli Antoniak

z 2009 roku. Tę produkcję obejrzałam mając bodajże piętnaście lat. Wtedy dopiero zaczynałam przygodę z kinem i za podpowiedzią znajomej włączyłam TVP Kultura. Po południu, podczas najmniej opłacalnego czasu antenowego, miałam okazję zobaczyć jedną z najskromniejszych opowieści o miłości.

Nic osobistego to oszczędna w słowach historia o zagubionej w życiu młodej dziewczynie, która wyrusza w samotną podróż po Irlandii. Wędruje w deszczu, śpi w namiocie i kroczy przed siebie bez wyznaczonego celu. Jej życie pozornie nie ma większego sensu, dopóki nie spotka starszego od siebie mężczyzny, który proponuje jej schronienie w swoim domu. Relacja, jaka nawiązuje się pomiędzy nimi, nie należy do stereotypowych – wymaga od widza skupienia się na drobnych gestach i detalach. Właśnie ta prostota, ten przysłowiowy brak

fajerwerków sprawia, że film Antoniak wybiją się na tle innych.

Wychowałam się niejako na hollywoodzkich produkcjach powtarzanych kilka razy do roku w polskiej telewizji i nie ukrywam, że bardzo wpłynęły one na moje nastoletnie wyobrażenie o zakochaniu. Wierzyłam w mit miłości doskonałej pomiędzy pięknymi ludźmi – takiej, która zwala z nóg. *Nic osobistego* zrobiło na mnie tak ogromne wrażenie, bo chociaż fabuła nie należy do skomplikowanych i nie wnosi nic nowego, w moim przypadku obaliła pewien stereotyp, który przyjęłam w dzieciństwie. To był właśnie ten moment, kiedy zaczynałam zdawać sobie sprawę, że miłość może mieć różne oblicza i nie istnieje takiej, które jest jedynym właściwym. Chyba każdy z nas dowiadywał się o tym prędzej czy później. ■

Monika Catusińska

TAJEMNICE EGIPSKICH GROBOWCÓW

Niedawno zasugerowano mi, abym zwiedził wystawę „Tajemnice egipskich grobowców”. Muszę przyznać, że chociaż z reguły do muzeum udaje mi się dość samemu, bez pary ciągnących mnie tam wołów, to jednak nie jestem specjalnym fanem takich przybytków. Do Muzeum Archeologicznego szedłem więc raczej bez większego entuzjazmu, za to wychodziłem z niego w znacznie lepszym humorze.

Nawet jeśli nie otaczały mnie chmary skowronków – nie po skowronki wszak chodzi się do muzeum – to na pewno byłem zaintrygowany wystawą i przybyło mi w głowie kilka refleksji na tematy, o których inaczej bym tego dnia nie pomyślał. Co więcej, z wystawy wyniosłem też przekonanie, że niemal każdy spędzi przy niej wartościowo czas i znajdzie w niej coś dla siebie.

PROJEKT ASASIF

„Tajemnice egipskich grobowców” to pierwsza organizowana przez Wrocław wystawa dotycząca starożytnego Egiptu – a dokładniej okresu jego historii zwanego Średnim Państwem. Jest ona efektem trzyletniej działalności Projektu Asasif w Tebach Zachodnich, egipskiej nekropolii. Oprócz bezpośrednich owoców działań tej grupy zwiedzający mają okazję zobaczyć też m.in. zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie czy starożytną mumię z Muzeum

Człowieka we Wrocławiu – tak, choć pewnie niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę, w naszym mieście już od dawna znajduje się egipska mumia.

Jak się okazuje, w realizację wystawy zaangażowani byli studenci i pracownicy naszej uczelni, co dodatkowo zachęca do zapoznania się z jej eksponatami. Jeśli ktoś czuje w sobie lokalnego patriotę, zainteresowanego wszelkimi godnymi uwagi przedsięwzięciami związanymi z Politechniką, to już to może stanowić dla niego wystarczającą motywację, by skierować swoje kroki do Muzeum Archeologicznego. Okazja, by podziwiać owoce pracy swoich kolegów, jest naprawdę niebagatelna.

NIEDOTYKANIE SUROWO ZABRONIONE!

Po pierwsze, wrażenie robi już samo wykonanie projektu. Wszystko, co archeolodzy mają nam do pokazania i powiedzenia, zaprezentowane jest w atrakcyjnej,

nowoczesnej i klimatycznej formie, a nie w suchy, naukowy sposób. Oprócz oryginalnych wydobytych spod ziemi eksponatów znajdziemy też wierne trójwymiarowe wydruki opatrzone tabliczkami „Proszę dotykać!”, wręcz kpiącymi z tradycyjnego i – nie ukrywajmy – nieco nudnego modelu muzeum. Szczególną uwagę zwiedzających powinna przykuć kopia komory grobowej w skali 1:1. Jest to pierwsza jak dotąd próba przedstawienia takiego pomieszczenia i naprawdę zadbane w nim o szczegóły. Całości dopełnia bardzo trafiony, klimatyczny wystrój, obejmujący np. zręcznie dobrane oświetlenie czy piasek we wspomnianej komorze. Mówi się, że diabeł tkwi w szczegółach i rzeczywiście – takie detale uprzyjemniają obcowanie z eksponatami i ułatwiają wejście w odpowiedni dla zwiedzania nastrój. Można je zwyczajnie podziwiać, można też, jeśli ktoś planuje zajmować się czymś podobnym w przyszłości,

wiele się z nich nauczyć. W każdym razie – za wykonanie organizatorom należy się solidna piątka.

EDUKACJA I REFLEKSJA

Niemniej to tylko otoczka i forma, która niewiele byłaby warta bez godnej uwagi treści. Jednak i ta jest cenna – i to pod wieloma względami. Najbardziej oczywista korzyść, jaką można czerpać z wystawy, to wiedza. Liczne tabliczki ulokowane na naszej ścieżce w przystępny dla laika sposób opowiadają o starożytnym Egipcie – o jego historii, kulturze, zwyczajach i sztuce. Dociekliwy zwiedzający na pewno opuści budynek muzeum bogatszy o solidną dawkę wiedzy o Średnim Państwie, nawet jeśli wcześniej nie słyszał tego pojęcia. Nie zmienia to jednak faktu, że same informacje to mimo wszystko ostatnie, co przychodzi mi do głowy, kiedy wspominam moją wizytę w muzeum. To bowiem, co w tym doświadczeniu jest według mnie najlepsze, to możliwość odczucia wielkości cywilizacji sprzed tysięcy lat i swoistego kontaktu z nią. W pewnym momencie, gdy patrzysz na przykład na figurkę grobową, zdajesz sobie sprawę, że naprawdę wykonała ją ręka

takiego jak ty człowieka, żyjącego wręcz niewyobrażalnie dawno. Gdy czytasz egipski mit, dociera do ciebie, że jest to historia, którą ludzie podobni tobie wymyślili i przekazywali – tak, jak dzisiaj szerzą się nasze opowieści i poglądy. Gdy stoisz pośrodku repliki komory grobowej, dociera do ciebie, że jest to owoc umysłów wielu pokoleń, rozwijających równolegle różne dziedziny wiedzy i kultury, by zbudować coś tak imponującego. To wszystko stworzyli ludzie – tak dalecy i różni od nas, a równocześnie tak podobni i bliscy.

TECHNIKA I SZTUKA SPRZED TYSIĘCY LAT

Na nas, jako na studentach politechniki, wrażenie mogą wywrzeć techniczne aspekty starożytnych grobowców. Opisy i rysunki korytarzy ciągnących się na wiele metrów pod ziemią każą zastanawiać się, jak egipcjanie inżynierowie dokonywali takich cudów z tak ograniczonymi środkami technicznymi. Ktoś z humanistycznym odzieniem w duszy może zwrócić z kolei uwagę na bogactwo starożytnej kultury. Każdy znak na ścianie czy naczyniu jest nie tylko pięknie wykonany, ale także bogaty w znaczenia. Bardzo pomocne są tu objaśnienia

tekstowe przy poszczególnych eksponatach, możemy się jednak domyślać, że to, czego dowiemy się po obejrzeniu wystawy, to tylko wierzchołek góry lodowej bogactwa egipskiej kultury. Co więcej – wszystko, co widzimy, otwiera pole do dyskusji. Dla przykładu – łatwo zauważyć wszechobecną religię i jej znaczenie dla Egipcjan. Jeden zwiedzający zachwyci się tym aspektem egipskiej kultury, inny zwątpi – być może korzystniej dla rozwoju ludzkości byłoby, gdyby cywilizacja z tak imponującymi osiągnięciami była bardziej świecka? Nie przyjmuję tu żadnego stanowiska, chcę jedynie wskazać bezlik możliwości, w jaki „Tajemnice egipskich grobowców” mogą nas intelektualnie stymulować.

Jeśli ktoś czuje się przekonany do poświęcenia odrobiny swojego czasu na tę wystawę, jest ona dostępna do 10 stycznia w Arsenale przy ul. Cieszyńskiego 9. Jak już wspomniałem, szczerze twierdzą, że prawie każdy znajdzie tam dla siebie coś wartościowego i inspirującego. Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć miłego zwiedzania. ■

Michał Sierszulski

OPOWIEŚCI Z KULINARNII

Pyszne wypieki to nieodłączny element świąt Bożego Narodzenia. Unoszący się w domu zapach cynamonu, orzechów, miodu, pomarańczy i goździków tworzy niezwykłą atmosferę, a wspólne pieczenie ciast, ciasteczek i pierniczków jest w Polsce tradycją praktykowaną w wielu rodzinach. Nawet kuchenny bałagan, czasochłonne formowanie wypieków z lejącym w tle *Last Christmas* i fakt, że jesteś cały w mące i wyglądasz jak bałwanek, mają swój świąteczny urok. Poniższym przepisem na kruche rogaliki orzechowe na pewno zaimponujesz niejednej bliskiej osobie.



FOT. PAULINA NAPIERAŁA

KRUCHE ROGALIKI ORZECHOWE

SKŁADNIKI

- 140 g orzechów włoskich łuskanych
- 360 g mąki pszennej
- 120 g cukru pudru
- 200 g zimnego masła
- 1 żółtko
- 1 małe opakowanie cukru waniliowego

PRZYGOTOWANIE

Orzechy włoskie zmiel w maszynce lub rozdrobnij w malakserze. Do miski dodaj po kolei mąkę przesianą przez sitko, cukier puder, cukier waniliowy, żółtko, zmielone orzechy i masło starte na tarce o grubych oczkach. Posiekaj to wszystko nożem i wymieszaj, a następnie krótko zagnieć dłońmi do połączenia składników i uzyskania gładkiej nielepiącej masy. Z ciasta uformuj rogaliki i upiecz je na złoty kolor w rozgrzanym do 160°C piekarniku. Jeszcze gorące obtocz w cukrze pudrze. Smacznego! ■

Paulina Napierała

JAK PIĘKNE MOŻE BYĆ PIĘKNO WIDZIANE NA EKRANIE?

Czy film może być dziełem sztuki? Czy reżyser jest artystą? Czy czasem wizualne aspekty filmu na pierwszy rzut oka przyćmiewają fabułę? Tak, tak i tak. Jak bardzo ważna jest warstwa audiowizualna? Bardzo! Patrząc na powstające filmy, można zauważyć, że wszystko idzie w kierunku nie tylko rozrywki dla umysłu, ale również dla ucha i oka.

Ludzie w dużej mierze są wzrokowcami. Nie chcemy patrzeć na rzeczy mało atrakcyjne, wolimy cieszyć oczy pięknymi ludźmi, widokami, kostiumami. Filmowcy bardzo dobrze o tym wiedzą i parę lat temu wzięli to sobie do serca – zaczęły powstawać obrazy, które zapadają nam w pamięć nie tylko dzięki błyskotliwie prowadzonej fabule, ale czasami przede wszystkim – co niekoniecznie zawsze jest atutem takiego dzieła – dzięki fantastycznym zdjęciom czy ścieżce dźwiękowej.

Pierwszym nazwiskiem, które nasuwa mi się na myśl, jeśli chodzi o taką konwencję, jest Refn. Nicolas Winding Refn od dawna oszałamia nas estetyką swoich filmów. Niesamowite bogactwo kolorów, piękne wnętrza i do tego dość agresywna, jednak nie w pejoratywnym tego słowa

znaczeniu, muzyka sprawiają wyjątkowe wrażenie i nie pozwalają nikomu przejść obojętnie.

Kolejnym ekranowym estetą jest niewątpliwie Paolo Sorrentino. Twórca *Młodości*, *Wielkiego piękna* czy ostatniego, dość szeroko komentowanego serialu *Młody Papież* również nie zawodzi. Niespieszność akcji i bardzo wysmakowane szczegóły sprawiają, że seans jest prawdziwą uczcą.

O krok dalej posunął się Gaspar Noé. Ponieważ wszelkie tematy tabu w kinie przestają istnieć, a wszystkie granice, wydate się, zostały nad wyraz przesunięte, szansę otrzymał film *Love* tego właśnie reżysera. To, co jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia, teraz przestaje dziwić, a zaczyna zachwycać. Noé postawił na

pięknych ludzi uwikłanych w trudne sytuacje życiowe i okraślił to bardzo wymownymi i jednoznacznymi scenami seksu. Tu nie ma miejsca na brutalność, a jedynie na pasję, namiętność i miłość.

Czy w takim razie starsze filmy były mniej eleganckie i wysmakowane? Oczywiście nie, jednak większe możliwości techniczne sprawiają, że dzisiaj jest to zdecydowanie łatwiejsze, a także bardziej pożądane. Niemniej polecamy rzut oka na polską kinematografię i wędrowkę do lat 60. i 70., kiedy to swoje dzieła tworzył Wojciech Has. Zapamiętajcie datę: 8 grudnia, godz. 19.00. DKF „Politechnika” czeka na Was w sali 329 w A-1 razem z *Rękopisem znalezionym w Saragossie!* ■

Kinga Korcz, DKF Politechnika

ZAGADKI LOGICZNE

ODPOWIEDZI DO ZAGADEK Z POPRZEDNICH NUMERÓW

O SZKLANKACH I KUBKACH

Objętość oznaczmy przez V , pole powierzchni przez S , promień przez R . Ze wzoru na V należy wyznaczyć zależność wysokości H od R i V , a następnie podstawić za H do wzoru na S . Jeśli przyjmujemy, że V jest stałe, S będzie funkcją zmiennej R . Teraz trzeba wyznaczyć R , dla którego S osiąga minimum. Pozostaje podstawić objętość. Gotowe, można przystąpić do mierzenia kubków na zimę!

1. $V = 250$ ml, $R = 3,414$ cm, $H = 6,828$ mm.
2. Tym razem jest naprawdę ciężko, zadowolimy się wynikiem numerycznym. $V = 250$ ml, $R = 2,541$ cm, $H = 6,623$ mm.

O KARTACH

Naszym podstawowym założeniem będzie, że każde z możliwych rozdań (podział 52 kart na cztery równe podzbiory), które może być użyte do gry, jest równie prawdopodobne. Symbol Newtona to liczba k -elementowych podzbiorów n -elementowego zbioru. Będziemy go tutaj zapisywać jako $C(n,k) = n! : k! : (n-k)!$, wykrzyknik to silnia, czyli iloczyn liczb od 1 do n . Przykładowo, $C(7,4) = 7! : 4! : 3! = 5040 : 24 : 6 = 35$.

1. W każdym kolorze mniej niż pięć kart:

$$\sum_{p,q,r,s \in \{1,2,3,4\} : p+q+r+s=13} C(13,p) C(13,q) C(13,r) C(13,s) : C(52,13) \approx 35\%$$

2. Ponad sześć kart w jednym kolorze:

$$4 \sum_{7 \leq p \leq 13 : p+q+r+s=13} C(13,p) C(13,q) C(13,r) C(13,s) : C(52,13) \approx 4\%$$

3. Karty w dwóch kolorach:

$$C(4,2) \sum_{1 \leq p,q \in \{1,2,3,4\} : p+q=13} C(13,p) C(13,q) : C(52,13) \approx 0,01\%$$

4. Trzy asy u gracza po lewej, gdy ja mam jednego asa:

$$C(3,3) C(36,10) : C(39,13) \approx 3,13\%$$

5. Trzy asy u kogoś innego, gdy ja mam jednego asa:

$$3 C(36,10) : C(39,13) \approx 9,39\%$$

6. Każdy ma po asie, gdy ja mam jednego asa:

$$C(3,1) C(36,12) C(2,1) C(24,12) : C(39,13) : C(26,13) \approx 24,04\%$$

7. Ktoś ma dokładnie dwa asy, gdy ja mam jednego asa:

$$6 C(3,2) C(36,11) C(25,12) : C(39,13) : C(26,13) \approx 66,57\%$$

NOWE ZAGADKI

Nie wiem jak wam, ale mnie spodobały się zagadki o kartach. W tym numerze jeszcze więcej gier karcianych rozkładanych na czynniki pierwsze!

OCZKO

Tym razem gramy w oczko (blackjack). Asy mają wartość 11, inne figury 10, pozostałe karty – zwyczajnie; gramy na 52 karty w talii. Jaka jest szansa na wyrzucenie w dwóch kartach 21, czyli oczka? A jaka jest szansa na oczko dwa razy z rzędu, jeśli po drodze nie potasujemy talii? A trzy razy, cztery? Czy w ogóle da się wyrzucić oczko więcej razy z rzędu?

POKER

Gra dziesięć osób, każda dostała do ręki dwie karty; w talii znajdują się 52 karty. Akurat trafiły się nam dwa asy. Na stole pojawi się jeszcze pięć kart. Z własnych kart i kart na stole układamy pięciokartową rękę pokrową. Jakie mamy szanse na karete asów (cztery karty takie same)? Teraz założymy jeszcze, że dopisuje nam szczęście – nasze karty układają się w karete. Jaką mamy szansę, że nie przebiją nas wówczas pokerem (pięć kart w kolorze po kolei)? ■

Mateusz Pyzik

KRZYŻÓWKA

Zewsząd słyhać nieśmiertelne Merry Christmas Everyone, ulice są przystrojone świątecznymi ozdobami, ludzie biegają w poszukiwaniu prezentów... Aby podtrzymać tę atmosferę – krzyżówka świąteczna! Zrobicie ją między smażeniem

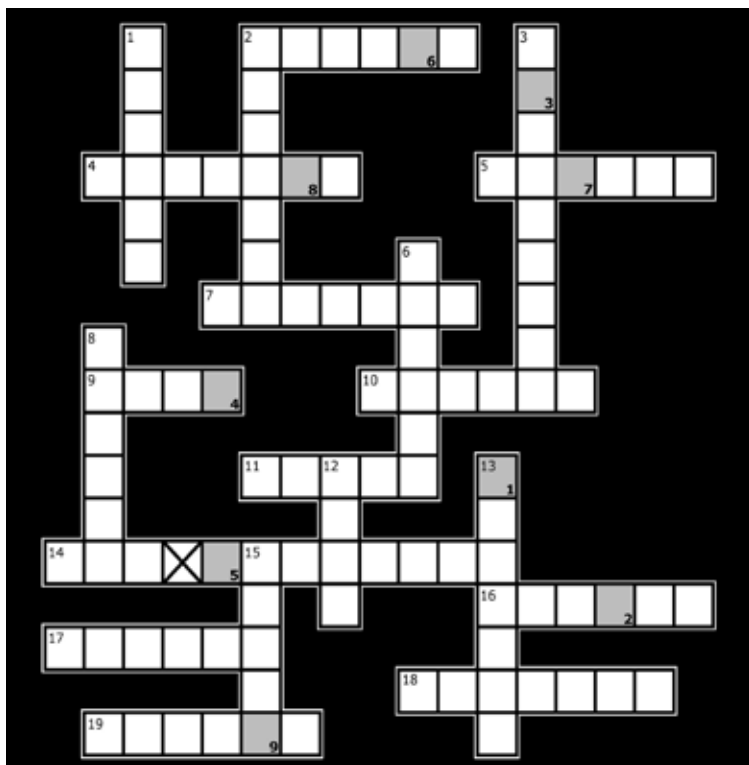
karpia a lepieniem pierogów. Krzyżówkę tę potraktujcie jako sprawdzian wiedzy na temat zwyczajów świątecznych, nie tylko tych polskich.

Znasz już hasło? Nie czekaj, tylko weź udział w konkursie i wygraj

nagrodę! Rozwiązanie wyślij na adres konkurs@zak.pwr.edu.pl. Zasady konkursu dostępne są na stronie www.zak.pwr.wroc.pl.

Powodzenia! ■

Małgorzata Napierała



1	2	3	4	5	6	7	8	9
---	---	---	---	---	---	---	---	---

PIONOWO

1. Kolor życia i odrodzenia.
2. Miejscowość z pierwszą żywą szopką.
3. Wenezuelski odpowiednik opłatka.
6. Warzywo, dawna polska wróżba wigilijna.
8. „Msza...” w Boliwii.
12. Ilość obrusów podczas Wigilii u Węgrów.
13. Musi swoje odleżeć.
15. Miejsce wielkiej uczty w Australii.

POZIOMO

2. Autor muzyki do kolędy *Cicha noc*.
4. Tu narodziła się tradycja przystrajania choinek.
5. Potrawa, inaczej bryja.
7. Projektant pierwszej kartki świątecznej.
9. Bóg Wikingów, odpowiednik Świętego Mikołaja.
10. Łamię się nim w Hiszpanii.
11. Ulubiona potrawa Ziuzi.
14. Wigilijne włoskie ciasto z miodem i bakaliami.
16. ... Czerwononosy.
17. Zwierzę święcone w Rumunii w dzień św. Ignacego.
18. Przynosi prezenty w Małopolsce.
19. Niespodzianka w duńskim deserze.

SUDOKU

		1	8					
6		4			3			
			6			3	2	
5	4			7		2		
1								9
		6		8			4	1
3	7				4			
			2			6		5
					5	3		

ALEKSANDRA MIZGAŁA

SATYRA



ALEKSANDRA MIZGAŁA

DKMS

POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

HELPERS' GENERATION

PRZYŁĄCZ
SIĘ!

ZOSTAŃ DAWCĄ SZPIKU!

POMÓŻ NAM POKONAĆ NOWOTWORY KRWI

ZAREJESTRUJ SIĘ
PODZAS AKCJI NA UCZELNI**POLITECHNIKA WROCŁAWSKA****Miejsce:**

Parter Budynku C-13

Strefa Kultury Studenckiej

I piętro budynku B-4

Dokładny adres:

ul. Wybrzeże Wyspiańskiego 23/25, Wrocław

ul. Hoene-Wrońskiego 10, Wrocław

ul. Łukasiewicza 5, Wrocław

Data:5-8.12.2016
9.12.20166,8.12.2016
9.12.2016

10-11.12.2016

Godzina:09:30-17:30
09:30-15:3012:00-16:00
12:00-15:00**Fundacja DKMS**

ul. Altowa 6 lok. 9, 02-386 Warszawa

T +48 22 882 94 00 • F +48 22 882 94 02 • kontakt@dkms.pl • dkms.pl

DAROWIZNA: PEKAO SA 15 1240 6292 1111 0010 6197 7669

YouTube

**PARTNERZY:**

Politechnika Wrocławska

PATRONI MEDIALNI:

abcZdrowie.pl

be active

eurostudent.pl



Żak

**Miesięcznik Studentów
Politechniki Wrocławskiej**

Drogi Czytelniku!

Dotarłeś do ostatniej strony ostatniego numeru w tym roku. Jesteśmy bardzo ciekawi tego, jak oceniasz naszą działalność i to, jakiego „Żaka” wydajemy. Stworzyliśmy ankietę dostępną pod adresem

www.zak.pwr.edu.pl/ankieta

Wypełnienie jej to chwila, a nam da możliwość lepszego dopasowania tego, co robimy, do Twoich preferencji.



DKF

POLITECHNIKA

DYSKUSYJNY KLUB FILMOWY

POLITECHNIKA | GRUDZIEŃ 2016

1/12

ZIMOWY SEN

reż. Nuri Bilge Ceylan

8/12

RĘKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE

reż. Wojciech Jerzy Has

prekuz specjalny oraz wystawa przy współpracy z CeTA

15/12

HOLY MOTORS

reż. Leos Carax

22/12

ALPY

reż. Yorgos Lanthimos

każdy czwartek

budynek A-1 PW

godz. 19.00

sala 329